PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 25 LIPCA 1936 R. * NUMER 30 (147)

OD LITERATURY DO SPOŁECZEŃSTWA – MOŻLIWOŚCI I ZŁUDZENIA

Dawno już nie czytałem artykułu, któryby z taką trafnością i przenikliwością ujął istotę wzruszenia estetycznego, płynącego z literatury, jak to widzimy w artykule Leona Piwińskiego, p. t. *Społeczna rola literatury (Pion* Nr. 136). Autor podkreśla pokrewieństwo między wzruszeniem, którego doznajemy, słuchając utworu muzycznego, a wzruszeniem, doznawanym przy czytaniu utworu literackiego; w istocie nie zachodzi między nimi różnica *jakościowa*. Podobnie, jak to widzimy w muzyce, tak też i w poezji samo jądro wzruszenia jest czemś nie poddającym się dalszej analizie, w istocie swojej irracjonalnym. Wbrew snobizmowi „męskości" i modnej deklamacji mechanistycznej — Piwiński podnosi ten moment z *prawdziwym* męstwem. Nie będę powtarzał wywodów autora w tym właśnie punkcie zasadniczym, co do którego zupełnie się z nim solidaryzuję. Wszystko, co Piwiński napisał o twórczości literackiej, jako o swoistej ucieczce w głąb siebie samego, jest dla mnie absolutnie przekonywające.

Rozchodzę się natomiast z autorem artykułu w ujęciu zagadnienia, które stanowi właściwy temat jego rozważań, mianowicie społecznej roli literatury. Piwiński pisze: „Ale jak religia, jeżeli chodzi o sprawy *dogmatyczne*, nie może się poddać i nigdy się nie podda wymaganiom Państwa, taksamo wszelka ingerencja społeczna i państwowa, jeżeli chodzi o sam proces tworzenia artystycznego, jest w gruncie rzeczy absurdem. Absurdem dlatego, że nie może nigdy i w żadnym wypadku osiągnąć tego, o co takiej ingerencji przypuszczalnie chodzi. Utwory stworzone pod auspicjami takiego czy innego rządu, pod większym czy mniejszym naciskiem społecznym czy państwowym i pod przeróżnymi postaciami tego nacisku, tworzone nawet dobrowolnie, z uczciwą służbistością czy safandulską uległością, — nigdy nie będą dziełami sztuki".

Święta prawda. Więcej nawet, a raczej *mniej:* stwierdzenie faktów bezspornych i oczywistych. Ale chodzi o to, czy takie stwierdzenie sięga istoty rzeczy, i czy mówi coś istotnego o *społecznej roli literatury?*

Trzeba tu uwzględnić dwa momenty. Przedewszystkiem istnieją dzieła literackie, inspirowane przez pewną treść społeczną *szczerze* i z wewnętrznej *artystycznej* potrzeby pisarza. Niema wtedy mowy o jakimś „robieniu" literatury na obstalunek czy pod dyktando reżimu. Jako przykład takiego współprzenikania się pierwiastka społecznego z natchnieniem artystycznym, można przytoczyć twórczość Barrèsa. Pisarz ten jest typowy ze względu na to, że jego związek z ziemią, tradycją a nawet z polityką stał się właśnie źródłem najgłębszych aspiracyj artystycznych. Barrès nie czynił nad sobą gwałtu, ale właśnie *uciekając w siebie*, wsłuchując się w siebie, odnalazł niesłychanie mocne więzi pomiędzy sobą, jako indywidualnością artystyczną, a narodem francuskim, jako zbiorowością. To prawda, powiada się, że literatura, wyrażająca w tak doskonały sposób współbrzmienie między artystą i społecznikiem, wyróżnia się wyrafinowaniem intelektualnym i uczuciowym, odcinającem ją od t. zw. szerokiej publiczności. Twierdzenie to prawdziwe jest tylko o tyle, że trudno się posługiwać tą literaturą, jako narzędziem agitacji, trudno za jej pomocą „urabiać nastroje" z dnia na dzień i robić rządowi „dobrą prasę". Niemniej jednak jej działanie społeczne jest pewne, jakkolwiek trudne do stwierdzenia. Faktem jest, że utwory o nasyconej barwie uczuciowej, oparte o skalę przeżyć głębokich, zawiłych, nieraz starannie zakonspirowanych, o przeżycia „z kluczem", którego autor nie wciska czytelnikowi tak wprost do łapy — „chwytają" doskonale w tłumie, gdy krytyka fachowa grymasi, marudzi i pyta co autor „miał na myśli". Jest to niemal ściśle prawo. Jeśli zaś się zdarzy, że autorem będzie pisarz, szczerze i bezpośrednio inspirowany treścią społeczną, wówczas przymierze literatury ze zbiorowością może być potężne.

To prawda, że trudnoby przykład analogiczny wskazać w literaturze polskiej. Jest ona wprawdzie nasiąknięta elementem społeczno-dydaktycznym, ale ten dydaktyzm bywa najczęściej — z wyjątkiem bodaj Wyspiańskiego, u którego przeradza się w spontaniczny profetyzm — czemś narzuconym zzewnątrz, *ofiarą*, którą artysta składa na ołtarzu celów społecznych. Ofiarą zresztą daremną, bo to sztuczne nawarstwienie motywów społecznych na podłożu literackim, właśnie przez swą sztuczność, przez podporządkowanie się sprawom dorywczym i zerwanie związku z najgłębszym podłożem twórczym artysty raczej odcina tę literaturę od społeczeństwa, apelując do powierzchownych warstw wrażliwości. Zdrada artysty na rzecz społecznika, — mści się na społeczniku, a pośrednio na społeczeństwie, spłycając jego reakcje.

A teraz druga sprawa. Istnieje wiele utworów literackich, które z istoty swojej są nietylko aspołeczne, ale nawet antyspołeczne. Jednostka całą siłą temperamentu zwraca się przeciwko pętom i obowiązkom, które narzuca jej ład społeczny. Staje się wyzywająca i drapieżna w stosunku do wszelkiego nakazu, pochodzącego zzewnątrz, a jej stosunek naturalny do społeczeństwa wyraża się w sarkazmie nienawiści. I z takiej postawy rodzą się jednak wielkie dzieła, np. dzieło Flaubert'a. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że dzieła takie są tylko ciekawym tematem dla historyków literatury i przedmiotem subtelnej delektacji estetów. Sam fakt, że społeczeństwo wydało wielki talent, że wśród społeczeństwa żyje człowiek o tak tragicznym zdrowiu, że może ono znieść ciśnienie nienawiści wobec nakazów społecznych, nielamiąc człowieka, owszem, dając mu siły do objektywizacji swoich cierpień, jest elementem niesłychanie podnoszącym samopoczucie narodu. W rezultacie ci pisarze, którzy najbezwzględniej deptali zasady społeczne w dalszym obiegu, stają się trwałą podwaliną kultury narodowej. Bo sam fakt talentu, sam fakt wielkiego wysiłku artystycznego ma pewną wymowę samoistną, która przenikając w głąb świadomości narodu podnosi skalę jego dumy i ambicji.

Trudno mi zrozumieć Piwińskiego tam, gdzie dosiadając już pegaza frazeologji, rozprawia o braterstwie ludów, jako o szczytowym osiągnięciu literatury.

W jego ujęciu literatura ma być jakimś ponadnarodowym czynnikiem konsolidacji między społeczeństwami. Nie wydaje mi się to ujęcie słuszne. Wogóle kiedy słyszę kogoś mówiącego o t. zw. braterstwie ludów, czuję zbliżającą się pustkę. Stają mi przed oczyma ludzie, których cechą charakterystyczną jest to, że wiedzą doskonale czego *nie chcą*, ale nie wiedzą, *czego chcą*. Nie chcę wojny, nie chcę nędzy, nie chcę cierpień. Jedynym zrozumiałym ideałem w tej powodzi frazesów jest utrzymanie człowieka w równowadze fizjologicznej. Słuszne działania praktyczne (rozwój higieny społecznej, walka z nędzą i t. p.) stają się tu *ideałami;* w istocie zmierzają one tylko do uzyskania elementarnej równowagi do dalszej, ważniejszej i naprawdę *twórczej* pracy. Ale tam, gdzie ta praca się zaczyna, gdzie narody czy ludzie występują z własną inicjatywą, opartą o ich marzenia i czerpiącą soki z ich najgłębszego podłoża psychicznego — tam zaczyna się właśnie *różnicowanie*, a różnicowanie prowadzi do walki. Tyle już naopowiadano o tem, że „tylko miłość jest twórcza", a nienawiść — „destrukcyjna"! — Ulubiona piosnka bigotów obu międzynarodówek: racjonalistyczno-humanitarnej i mistyczno-chrześcijańskiej. Jeśli chodzi o literaturę, to właśnie na jej przykładzie widać najlepiej, jak dalece twórcza bywa nienawiść. Wartoby raz zerwać ze tym przesądem o prymacie miłości nad nienawiścią i uznać ich równowartość, jako czynników działania zarówno społecznego jak artystycznego. Kiedy czytam pisarzy, z którymi jestem najsilniej zżyty: Stendhala, Dostojewskiego, Flauberta, Balzaca, spostrzegam wielkie natężenie nienawiści do pewnych podstaw społecznych, ludzi, typów, ideałów; nienawiści, bez której kontur psychologiczny postaci, zaludniających dzieła tych pisarzy, nie miałby nigdy tej wspaniałej ostrości, która właśnie nas do nich pociąga. O tych dziełach nie można powiedzieć, że konsolidują narody, ludzi i społeczeństwa. Są często szkołą nienawiści. Wszystko, co dzieli człowieka od człowieka i naród od narodu, znalazło tam wyraz najbardziej bezwzględny, drapieżny i nieustępliwy. Zapewne, nawet między wrogami bywa zawieszenie broni. W podobnym sensie zachwycać się można szczerze utworem, zrodzonym z nienawiści do tego, co sami kochamy (można się np. zachwycać świetnymi postaciami plugawych polaczków Dostojewskiego, — typowe płody nienawiści twórczej!) — ale to będzie raczej przerwa śród wiecznej walki. Podobnie żołnierz może z podziwem patrzyć na baterje nieprzyjacielskie i oceniać militarne talenty wroga. — Literatura utwierdza w nas i nasze najświętsze umiłowania i najświętsze nienawiści.

Jeśli literatura polska skromne stosunkowo zajęła miejsce w rodzinie literatur europejskich, to między innymi dlatego, że tak beznadziejnie ugrzęzła w niemrawej zacności psychicznej, wytwarzając medium psychiczne, nie sprzyjające aktowi wielkiego potwierdzenia indywidualności, które jest sprężyną każdej dobrej literatury. Dlatego między innymi tak niewielkie rezultaty dała nasza literatura kobieca, mimo dużego wyszkolenia, znacznej kultury artystycznej i dużych ambicyj. Właśnie na tej literaturze to odrętwienie zacności odbiło się najfatalniej. Jeśli nie stać nas na nienawiść wielką, to tylko dlatego, że stać nas na *małą*. Kobieta nienawidzi na krótką metę, prywatnie: ta nienawiść istotnie nie jest twórcza.

Sądzę, że przyznanie motywom nienawiści ogromnej roli w dziedzinie twórczości artystycznej nie jest żadnym paradoksem i każdy, kogo stać na pewien stopień szczerości, łatwo to może stwierdzić. Jednakże sugestja powinności składania ukłonów zasadzie: „tylko miłość jest twórcza", jest u nas tak silna, że mało kto zaryzykuje przeciw niej wystąpić. Zilustrował to swoim artykułem Piwiński, który w pierwszej części swoich rozważań występuje jako bystry analityk, tam zaś, gdzie chodzi na trakt „braterstwa ludów", sprawia wrażenie człowieka, z obowiązku tylko strojącego się w kolorową kokardę optymizmu, czyniąc zadość dawno ustalonej konwencji.

J. E. SKIWSKI

OJCZE NASZ

Na wzniesieniu w ramach płyty
Wieczny pokój, w którym śpisz,
Z pięciu desek wiekiem kryty
Ten, co nosił, trzyma krzyż.

Za dług życia jak należy
Zostawiłeś serca dług,
Proch pamiątek i ból świeży
I pytanie: — Jakżeś mógł!

Wracam w lata spopielone,
Na ślad stopy sypię pył, —
Idę z Tobą w twoją stronę,
Chociaż ledwie starcza sił.

Twój niepewny cień się błąka
Po pokojach, idzie w sad,
Śpieszy w pola i na łąkach
Nieuchwytny ginie ślad.

Po cmentarzu wzrokiem wodzę,
Po tej ziemi w której trwasz —
Na krzyż patrzę i przy drodze
Cicho mówię — Ojcze nasz...

STEFAN GOŁĘBIOWSKI

ZNAKI

Na mijające zwolna dnie
Czas sieje makiem.
Czym w życiu jestem, pytasz mnie.
Pisarskim znakiem.

Gdy w młodość moją los się wkradł
Błędnym ognikiem,
Pragnąłem w ten nieznany świat
Mknąć wykrzyknikiem.

Lecz kiedy własnej myśli pęd
Wzrok mi przesłaniał,
Czułem, że się bezwiednie gnę
W znak zapytania.

Czasem wyrywam z pustki znów
Twórczą godzinę.
I wnikam w melodyjność słów
Niby przecinek.

A gdy już oprze na mnie śmierć
Zwycięską stopę...
Przeminę w tajnię gwiezdnych sfer
Jak wielokropek.

ZBIGNIEW KASIŃSKI

LAWINA

Kiedy po śnieżnej przestrzeni otwartej
podniebnie niosą mnie narty,
myślę:
gdyby mi tak przyszło zginąć,
to chyba w górach pod śnieżną lawiną.
Na dwutysięcznej wysokości
zatonąć w śnieżnej białości,
stoczyć się i zawisnąć nad przepaści brzegiem,
rozbielić się, rozpylić i rozwiać ze śniegiem—
Wsiąknąć w ziemię powoli wodniście,
kropliście,
dopłynąć do doliny pod zmartwiałe liście —
lecz wiosną, pod tęsknoty natrętnym
przymusem,
strzelić z ziemi ku tobie — liliowym
krokusem.

LUDOMIRA MISSIURO

NOWELA KATARZYNY MANSFIELD *

Nowela — ten specjalny gatunek literacki, który zna każdy, a o którym wie się stosunkowo niewiele — posiada wielu szlachetnych przodków, a ród jej sięga czasów — *Tysiąca i jednej nocy*. Nie były bowiem niczym innym te powiastki, za które okrutny władca darował jeszcze jeden dzień życia swej wymownej żonie, greckie *logos*, średniowieczne sagi i ballady, szkockie ballady i powiastki ludowe — i wreszcie właściwa nowela czasów nowożytnych. *Short story* — nazywają ją Anglicy — wcale zresztą nie ze względu na czas potrzebny do przeczytania jej, lecz na czas trwania jej akcji; są bowiem *short stories* takie jak *Obrót śruby* Henryka Jamesa, które mają blisko dwieście stron druku.

Wszystkie te odmiany noweli charakteryzuje cecha, która stanowi o różnicy pomiędzy powieścią a nowelą. Powieść — to historja rozwoju psychiki kilku postaci, obraz ich przeżyć na tle wypadków wywołujących te przeżycia i nawzajem przez nie wywołanych. Nowela — to właściwie opowiadanie, to rozwój i przebieg wypadków określonych dwiema jednościami, — czasu (zazwyczaj bardzo krótkiego okresu czasu) i „wizji" t. j. świadomości jednej postaci. której oczyma widzimy przebieg akcji. Postaci mogą być choćby zlekka naszkicowane, lub nawet być postaciami „typowymi", — w noweli chodzi o wypadki, o to „jak to było" i „co się wtedy stało". Z biegiem czasu zmieniają się fakty, zasięg i rodzaj opisywanych wypadków, lecz sposób pisania pozostaje w zasadzie ten sam. W noweli nie chodzi — jak w powieści — o wynik opisanej akcji, o jej koniec — nieunikniony w danych, określonych warunkach, — lecz o jednolite silne wrażenie, które sprawia seria zdarzeń, rozwijających się w niewielkim przeciągu czasu. Dlatego też nowela sprawia wrażenie dobrego obrazu, — w niewielkiej przestrzeni zawarta jest masa powietrza. Ale koniec, wynik danej akcji nie jest rzeczą najważniejszą; nie musi on być konsekwencją poprzednio opisanych wypadków, jest to poprostu ostatnie z opisanych zdarzeń; w noweli rzeczą decydującą jest początek, wstęp, pierwsze słowa i pierwszy obraz, który wprowadza odrazu w atmosferę utworu, coś jak uwertura w operze.

Nowela sprawia wrażenie wyraźne i mocne — nie nuży czytelnika, trzyma w napięciu jego uwagę; jej zakończenie nie zawiera morału; jest ona jak wąska struga światła — oświetla wąski pasek ludzkiego życia, uczuć, przeżyć; podkreśla jakąś serię wypadków, rzuca jakieś pytanie — i znów jest ciemność.

Nowela przeszła długą drogę od dokładnego i sumiennego wyliczania kolejnych przygód bohatera — był to sposób opowiadania trochę kronikarza, trochę bajkarza — poprzez okres duchów i przygód — gdy głównym celem autora było stworzenie obrazu, trzymającego czytelnika w napięciu pełnym zgrozy (Dickens, Stevenson, Poe); poprzez okres tworzenia problemów życiowych — coś jak gdyby zawiązanie węzła, którego rozwiązanie pozostawia się czytelnikowi (Maupassant, Żeromski); aż do stworzenia obrazów i nastrojów z niczego, — z kilku chwil codziennego życia, obok których bez pomocy autora przeszłoby się nie postrzegając ich, — w tym celuje Czechow i — bardziej subtelnie, z niemniejszą spostrzegawczością i realizmem lecz z większym wdziękiem — Katherine Mansfield.

Krótkie życie — a właściwie krótka, zacięta walka. Walka z warunkami materialnymi, z atmosferą życia w Nowej Zelandii, z atmosferą społeczeństwa londyńskiego, — wreszcie wytrwała walka z cierpieniem i chorobą, zakończona nagłą porażką — czy też zwycięstwem — śmiercią.

Katherine Mansfield (Kathleen Beauchamp — Kezia z *Prelude* i *W zatoce)* urodzona w 1882 r. w Nowej Zelandji, skąd uciekła jako młoda dziewczyna do Londynu, który poznała w czasie swego pobytu w Queen's College, i który był dla niej wówczas czymś w rodzaju ziemi obiecanej. Stał się on miejscem jej pierwszej walki o byt, romantycznego życia artystki (była zdolną skrzypaczką), wielkiej miłości (Arnold Trowell) i pierwszego nieszczęśliwego i skandalicznego małżeństwa, którego w oczach purytańskiego społeczeństwa angielskiego nie mogło zatrzeć jej drugie, szczęśliwe i przykładne małżeństwo, zawarte z Johnem Middletonem Murry w 1913 r.

Z Londynu też wypędza ją przez kilka lat z rzędu surowa, zabójcza dla niej zima. Stamtąd uciekła po raz ostatni do Francji, by umrzeć w Fontainebleau w 1923 r.

Wojna była dla niej najstraszniejszym okresem życia. Przyczyniły się do tego w dużej mierze jej wędrówki po Europie w czasie wojennej zawieruchy, pobyt w Paryżu, w czasie bombardowania, gdy ciężko chora, samotna, prawie bez pieniędzy, obserwowała na nocnym niebie „śliczne aeroplany z błękitnymi światełkami" i godzinami siedziała w zimnej piwnicy, czekając na koniec ataku. Przyczynił się również i fakt, że wszyscy bliscy jej ludzie, którzy poszli na front, nie wrócili już nigdy. Nie wrócił ani szczery przyjaciel jej i jej męża, trochę w niej zakochany, młody dziennikarz, Frederick Goodyear, ani zdolny poeta, Rupert Brooke, ani wreszcie brat Katarzyny Mansfield — L. H. Beauchamp, „Chummie", z którym łączyło ją bardzo serdeczne uczucie. Ten ostatni cios wywarł głęboki wpływ na jej twórczość i całą psychikę. W *Dzienniku* czytamy „Drogi braciszku... twoja obecność przy mnie jest bardziej realna, niż gdybyś żył, a jabym pisała do ciebie z niewielkiego nawet oddalenia... Za każdym razem, gdy biorę pióro do ręki, ty jesteś ze mną, należysz do mnie, jesteś moim towarzyszem zabaw, moim bratem..."

Nowela *Mucha* jest odbiciem tego wstrętu i strachu, jaki K. M. odczuwała wobec wojny. Mucha tonąca w kałamarzu, wyratowana machinalnie przez starego kupca, który siedząc przed fotografią swego syna, zabitego przed sześciu laty na wojnie, właśnie „przygotował się" — jak zwykł był to czynić, — do płaczu nad jego stratą.

Widok muchy, która, wysuszywszy swe skrzydła na bibule biurka, zbiera się do lotu, przykuwa jego uwagę. Zrzuca na nią kroplę atramentu, śledzi jej wysiłki, by zmyć z siebie ten atrament, zrzuca drugą kroplę, śledzi słabnące waleczne starania do wyswobodzenia się, wyrzuca bibułę razem z muchą, która nie zniosła trzeciej i ostatniej kropli i zastanawia się nad tym, co miał właściwie zamiar zrobić? Nie pamięta...

Spuścizna literacka Katarzyny Mansfield jest niewielka, — trzy tomy nowel — lecz wystarczyła, by zapewnić jej jedno z czołowych miejsc śród współczesnej literatury angielskiej. Nie stało się to odrazu. Z dziennika jej oraz listów zebranych i wydanych po jej śmierci przez J. Middletona Murry widać, jak wolno i z jakim trudem torowała ona sobie drogę — nie do sławy, która oświetliła ostatnie lata jej krótkiego życia, nie dbała o nią, — lecz — rzecz dziwna — do twórczości. Cały jej dziennik, wszystkie listy noszą piętno przedziwnej i największej walki Katarzyny Mansfield, walki z jej własną pracą. Kocha tę pracę; szanuje ją: jest z niej dumna; pragnie napisać te rzeczy, które widzi i czuje z dziwną, bolesną prawie jaskrawością i wyrazistością.

„Gdy mijam stragan z jabłkami" — pisze w liście do Dorothy Brett — „muszę zatrzymać się i patrzeć na nie, aż zaczynam odczuwać, że ja sama zamieniam się w jabłko... Cały ten proces... jest tak nadzwyczajny, że wstrzymuję oddech na samą myśl o nim. Potem następuje moment, gdy się jest bardziej jabłkiem... lub bardziej Nataszą niż one same mogłyby być, — i wtedy stwarza się je na nowo!"



Katarzyna Mansfield

Pomimo to, ciągle waha się na bolesnej dla niej granicy przejścia zupełnie już przemyślanej, gotowej aż do ostatniego słówka, noweli w zwykłą postać słowną. „Nie mogę tak jak John usiąść i tworzyć" — skarży się ona w *Dzienniku*—i znów: „Pracowitość J. jest nieustannym wyrzutem dla mnie — dlaczego ja też nie piszę? Mając tak bogaty materiał, wiedząc, że muszę większość tego materiału zużytkować przed moim powrotem do Anglii, dlaczego nie zaczynam pracować? Gdybym tylko miała dość odwagi, aby wypowiedzieć to wszystko, co mnie przepełnia. Czemu wogóle zwlekam? Bo jestem leniwa, marnotrawna ponad wszelkie wyobrażenie i nieprzyzwyczajona do pracy. Jest to najprawdziwsze lenistwo, wstrętne i bez wdzięku".

Była niesprawiedliwa i okrutna dla siebie samej. Ciągle i nieustannie pragnęła udoskonalić siebie, swą pracę, swe życie. Ciężko chora, wciąż zamierza wszystko zmienić, zrobić jakiś plan nowego życia, na trzy miesiące przed śmiercią jeszcze obiecuje sobie, że wszystko zacznie od początku.

Ta niechęć do wytrwałej pracy, którą K. M. nazywa lenistwem, miała prawdopodobnie częściowo źródło w jej chorobie, stale i powoli wycieńczającej organizm, zarówno jak i w dziwnym, skomplikowanym stosunku który zachodził pomiędzy jej świadomym pragnieniem tworzenia i podświadomym pro-

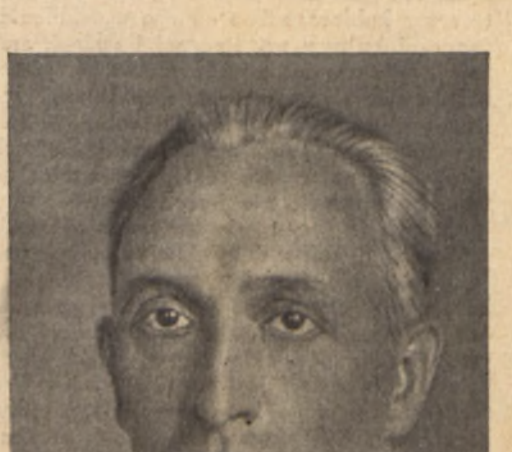
---

* KATHERINE MANSFIELD: *Garden Party*. Autoryzowany przekład Bolesławy Kopelówny. Warszawa 1934. Wyd. J. Przeworskiego.

Dziennik Katarzyny Mansfield. Wydał J. Middleton Murry. Autoryzowany przekład Teresy Tatarkiewiczowej. Warszawa 1935. Wyd. J. Przeworskiego.

KATARZYNA MANSFIELD: *Listy* 2 tomy. Przygotował do druku i słowo wstępne napisał John Middleton Murry. Autoryzowany przekład Marii Godlewskiej. Warszawa 1934/5. Tow. Wyd. „Rój".

PONAD OBOWIĄZEK



Zabrało go morze. Zabrało nagle, zdradziecko — z tym swoim bezwzględnym zimnym okrucieństwem. Morze — dla którego pracował, którego wielkość głosił, które opanować pragnął, do walki z którym porywał społeczność polską, — morze, które było Jego umiłowaniem.

I na wzgórzu Oksywskim została mogiła żołnierska — pierwsza.

Urosną inne — tych, co w służbie idei Dreszera polegną.

Twarz szlachetna, surowa. Oczy mocno patrzące, spokojne. Wzrok wybiega naprzód i znaczy drogę. I wola żelazna prowadzi tą drogą Człowieka. Prowadziła przez całe życie.

W uczniowskich kółkach urabiał sobie ideały. I jako sztubak szesnastoletni w strajku szkolnym składa pierwszy egzamin czynu. Idzie przodem. Umie prowadzić, bo sam wie gdzie dąży i jak pełnić powinność należy.

A kiedy ogarnął prawdę, że wolność tylko czynem zbrojnym wywalczyć można — do czynu się sposobi sumiennie i wytrwale — zdobywa wiedzę żołnierską, kształci w sobie cnotę żołnierską. Poznaje arkana wojny w kółkach i sam, gruntownie, poważnie, sumiennie.

Nadchodzi okres służby wojskowej, nie uchyla się od niej, choć to wojsko rosyjskie. On musi przeniknąć tajnie mechanizmu militarnego, musi je zbadać do głębi. Ale mu się nie podda. I kiedy wojna wybuchła, Gustaw Orlicz-Dreszer nie dopuści do się ułudy, że carskie wojsko idzie do walki z najgroźniejszym naszym wrogiem — z Niemcami. Nie — taka pociecha mu nie wystarczy... On musi być w szeregach polskich.

I skoro tylko znalazł się na froncie, stwarza sam sobie sposobność przejścia na inną stronę i w mundurze rosyjskiego oficera melduje się do Legionów. Sam — bez towarzyszy. Sam — bez rozkazu. Pełni obowiązek i to co ponad obowiązek nakazuje sumienie.

Był dzielnym w boju — dbał o żołnierza, wszystkie siły wydobywał, by powierzony oddział prowadzić, chronić, kształcić. Wojskowe jego przewagi znaczą pochwały w rozkazach, krzyże na piersiach, posunięcia coraz wyżej ze stopnia na stopień. Dreszer szedł wraz z innymi i wyróżniał się z pośród innych w gronie braci żołnierskiej. To było łatwe.

Ale potem nadeszły czasy inne. Dymisja Komendanta. Krótki okres nadziei na tworzenie wielkiej Armii Polskiej przy pomocy Państw Centralnych — porzucenie przez nie myśli o Polsce samodzielnej, a wreszcie odmowa składania przysięgi.

Dreszer odmawia. Ale na odmowie poprzestać nie umie. Ten człowiek nigdy nie poprzestał na biernym czegoś pełnieniu. I teraz przebiera się w kurtę żołnierską i jako szeregowy idzie nie do obozu oficerskiego w Benjaminowie — idzie do Szczypiorna — tam, gdzie najsroższa udręka, gdzie największa nędza i poniewierka, gdzie trzeba najwięcej moralnego podtrzymania. Dreszer pełni obowiązek i to, co ponad obowiązek nakazuje sumienie.

I niejeden obóz jeszcze zniesie. Twardy i surowy, mocny, pewny siebie — zawsze spokojny, daleko patrzącym wzrokiem odnajduje swą drogę i kroczy.

Taki wszedł w niepodległość.

Pracuje organizacyjnie. Krwawo pracuje na froncie. Oddziały w jego rękach formują się błyskawicznie i nabierają taranowej mocy uderzenia. Dreszer prowadzi — prowadzi szwadrony i dywizjony i pułki — prowadzi dywizję tą swoją pewną ręką, tym swoim mocnym spojrzeniem—tą swoją opieką, która ustokratnia siły żołnierzy.

Niejeden wspaniały cios tego mistrza pozostanie w pamięci ludzkiej — niejeden z nich gałęzią wawrzynu znaczy dzieje naszej młodej, ledwo narodzonej kawalerii.

Ale Dreszer nie umie spoczywać na laurach. I skoro tylko chwila spokoju nadeszła, zabiera się do nauki z pasją, z wytrwałością.

Praktyka wyniosła go już na generalskie stanowisko — on musi opanować je całkowicie i teoretycznie. I opanowuje na szeregu kursów ciężkich dla młodzieńca — może jeszcze trudniejszych dla człowieka, którego uczą nieraz ludzie, co nigdy w życiu takimi jak on jednostkami nie dowodzili.

Dreszer nakazał sobie — i nakaz wypełnił.

A kiedy Komendant znalazł się w Sulejówku, gdy skazano Go na emeryturę, gdy politycy zdecydowali przekreślić i „wykończyć" Józefa Piłsudskiego, Gustaw Orlicz-Dreszer jest tym, który staje na czele wielkiej delegacji i oświadcza Marszałkowi Polski, że szable oficerów polskich do niego należą. Gdy inni się wahają — Dreszer już jest gotów.

On idzie zawsze o jeden krok przed innymi — o ten jeden krok wyprzedzający rozkaz, o ten krok narzucony przez wyrobione wolą własną sumienie patrzące i widzące drogę.

Ten to krok jeden stanowi o bohaterstwie.

I nie tyle świetne czyny, których dokonał, nie tyle błyski ułańskiej szabli, lub szarże olśniewające, do których wiódł szwadrony, ile świadomość skupionej woli, posłusznej aż do ostatecznych granic nakazom sumienia pasowały go — na rycerza bez skazy.

Pięknie, bujnie żył Gustaw Dreszer, z przydomka Orlicz.

I piękny był jego poryw ku oceanom.

Stanął na czele Ligi Morskiej w zaczątkach jej rozwoju i energią swą nadał rozmach jej pracy — ogromny. Uczynił z niej jedną z najpopularniejszych instytucyj w Kraju. Sprawił, że propaganda morska dotarła wszędzie, że święta morza stały się najwspanialszą doroczną manifestacją państwowej mocy i woli do rozwoju. Setki tysięcy ludzi w tym dniu zjeżdża na wybrzeże, tysiące młodzieży płynie Wisłą ku ujściu Wisły, ku naszej Gdyni. Woli organizacyjnej jego zawdzięczać należy skupienie sił rozproszonych na emigracji, spojenie ich w wielki, ogólnoświatowy związek.

Dreszer nadawał temu wszystkiemu żywiołowy rozpęd — i znowu pełnił swój obowiązek i to, co ponad obowiązek sumienie kazało.

I dla tego nie zginie on w tłumie ani dygnitarzy, ani generałów.

Wielką cześć mają narody dla cnoty swoich „Nieznanych żołnierzy", którzy uosabiają ofiarę ochotną i męstwo nieposkromione. Gustaw Dreszer posiadał to, co czcimy w Nieznanym Żołnierzu. Posiadał więcej. Umiał iść w szeregu — umiał iść Sam jeden.

Zabrało go morze.

Ponoć w fale jego wrzucano pierścień, który był symbolem wiecznego ślubu kraju z obszarem wód bezbrzeżnym.

Nas będzie łączyć z morzem pierścień heroizmu Gustawa Dreszera, który w locie z Polski runął w zieloną toń Bałtyku — pierścień kosztowniejszy niż złoto i brylanty — pierścień płonący ogniem nie gasnącym przez wieki.

A. UZIEMBŁO

cesem przetwarzania na formę słowną zauważonych obrazów otaczającego życia.

Wskazówkę tego, że Katherine Mansfield sama wyczuwała ten rozdźwięk, choć może nie umiała go sobie wytłumaczyć, znajdujemy w następującej notatce z dziennika:

„Czuję zupełnie konkretnie, że nie mogę wejść w kontakt ze swoim umysłem, co jest równie nowoczesne jak wstrętne. Stoję w dusznej, obrzydliwej kabinie telefonicznej i nie mogę się połączyć. „Nikt nie odpowiada" — brzęczy cichutko głosik. „Proszę jeszcze raz zadzwonić — długo. Musi tam ktoś być". „Niema odpowiedzi". Wyobrażam sobie wówczas, że w budynku niema nikogo. Nawet starego, głupiego stróża. Nikogo — jest ciemno, pusto i cicho, a przedewszystkiem pusto. Dziwna rzecz, że wyobrażam sobie ten pusty budynek podobny do składu mego ojca. Czuję ten sam zapach, widzę drewnianą klatkę zniszczonej windy towarowej i zwisające, nasycone smolą liny".

Jej umysł żywy i czujny, jej talent, nadzwyczajny zmysł obserwacji, zdolność widzenia rzeczy widzialnych lecz niedostrzegalnych przez innych ludzi, i odczuwania nastroju, nawet jej trawione gorączką, torturowane ciągłym cierpieniem ciało, w swej wysubtelnionej zdolności odczuwania, — są jakgdyby pryzmatem, poprzez który zwykłe, codzienne, szare życie rozkłada się na wiele subtelnie zabarwionych chwil, przeżyć, wzruszeń, postrzeżeń.

Wiedziała, że danym jej jest widzieć i czuć więcej niż innym ludziom i bez końca męczyła się pragnieniem zapamiętania każdego odczucia, by potem oddać je w noweli. „Muszę zapamiętać ten ból, w razie gdyby minął. Kiedyś trzeba będzie nim wyposażyć kogoś w noweli". „Zapamiętaj uczucie tej radości... kolor tego nieba..." *(Dziennik)*.

Nieuchwytne nastroje, w które obfitują najzwyklejsze sytuacje podpatrzone przez K. M., objawiają się z nagłą siłą i wyrazistością. *Sun i Moon* — to opis przyjęcia, do którego przygotowania widzimy oczyma Sun, małego chłopca, który nie wątpi, że goście ujrzawszy piękny stół, udekorowany wstążkami i różami, a szczególnie lody, domek z białym dachem i orzechem zamiast klamki, będą chodzili naokoło tych cudów i przyglądali im się w niemym podziwie. Po skończonym przyjęciu rozbawieni rodzice zabierają obudzone dzieci na dół, by dać im trochę „resztek" uczty. Na poplamionym obrusie, śród brudnych naczyń leżą skorupy, skórki, przewrócona butelka, z której sączy się wino, a w środku — złamany, nawpół roztopiony domek; drzwi ocalały a w nich klamka z orzecha. „Chodź, Sun" powiedział tatuś, udając, że tego nie dostrzega.

„Tatusiu, tatusiu" wrzasnęła Moon. „Klamka została. Orzeszek. Czy mogę go zjeść?"

Sięgnęła po niego, wyjęła z drzwi i schrupała, gryząc mocno i mrugając oczyma. „No, chłopcze", rzekł ojciec. Lecz Sun nie ruszył się od drzwi. Nagle odrzucił głowę i głośno zawył: „To jest wstrętne — wstrętne — wstrętne".

— Widzisz — rzekła matka — no widzisz. „Wynoś się!" rzekł tatuś, odrazu przestając się śmiać. „W tej chwili. Wynoś się".

I głośno zawodząc, Sun podreptał do pokoju dziecinnego..."

Miss Meadows, nauczycielka śpiewu na pensji *(Lekcja śpiewu)* otrzymała list od narzeczonego, w którym ten zawiadamia ją, że przyszedł do wniosku, iż mimo ich miłości, małżeństwo ich będzie z pewnością nieszczęśliwe i że on sądzi, że lepiej będzie zerwać.

Pod wrażeniem tego listu Miss Meadows rozpoczyna lekcję. „...Strona czternasta!

Szybko, zbyt szybko i radość i róże
Więdną z jesienią i znika ich wdzięk;
Szy-y-bko ach szy-y-bko w zimowych dni burze
Piosnka radosna zamienia się w jęk!

Uniosła laseczkę... i rozległy się młode melancholijne głosy. Boże wielki, cóż mogło być tragiczniejsze od tego lamentu! Każdy dźwięk był westchnieniem, łkaniem, jękiem straszliwego smutku. Miss Meadows podniosła ramiona... i zaczęła dyrygować obiema rękami... „Odczuwam coraz wyraźniej, że nasze małżeństwo byłoby pomyłką..." Wybijała takt. A głosy wołały: „Szybko! Ach szybko..." — Co mogło sprawić, że on napisał taki list... Ostatni jego list był pełen dębowej szafki, którą kupił dla „naszych" książek i opowiadania o ślicznym, zgrabnym wieszaku, który widział onegdaj — „bardzo poręczna sztuczka"... „Piosenka radosna zamienia się w jęk!" — śpiewały głosy...

„Więcej ekspresji, dziewczynki" — rzekła Miss Meadows, „jeszcze raz!" — „Szybko! Zbyt szybko!" — Starsze dziewczynki były purpurowe, kilka młodszych zaczęło płakać".

Telegram. Narzeczony przeprasza, tłumaczy się nagłą depresją, zawiadamia, że kupił wieszak. Na skrzydłach radości Miss Meadows wraca do klasy.

„Strona 32-ga, dziewczynki, Strona 32".

Dziś przychodzimy obarczeni kwieciem;
Owoców kosze wiąże jedwab wstęg,
By-y powinszować...

„Stójcie! Dosyć" zawołała Miss Meadows. „To straszne. Okropne". Promiennie uśmiechnęła się do swych dziewczynek. „Co wam jest? Pomyślcie, dziewczynki, o czym śpiewacie! Trochę wyobraźni. Obarczeni kwieciem. Kosze owoców.. i „powinszować"... Nie bądźcież tak smutne! To powinno brzmieć ciepło, radośnie, żywo... Powinszować... Jeszcze raz!"

Katherine Mansfield nigdy nie opisuje swych postaci. Widzimy je na podstawie ich słów i czynów, czasem (rzadziej) ich myśli, czasem przelotnie w zdaniu innych postaci. Jest to swego rodzaju teatr wyobraźni — krótkie szkice — bez powoływania się na przeszłość, bez wyjaśnień i bez morału. Chwile.

XENIA ŻYTOMIRSKA

W SPRAWIE OŚRODKÓW SZTUKI LUDOWEJ

II *

Za bardzo szczęśliwy możemy poczytać fakt, że w chwili, kiedy zaczynamy sobie precyzować podstawowe i niezmienne prawa rządzące stosunkiem formy do tworzywa, żyją jeszcze na naszych ziemiach ośrodki sztuki, w których te prawa nigdy nie były zapomniane; że w biegu wypadków dziejowych moment załamania w sztuce warstw oświeconych przyszedł wcześniej, a do ośrodków sztuki ludowej dociera dopiero teraz, kiedy my już poczynamy zdawać sobie sprawę z tego, na czym on polega, i możemy w tym przełomowym okresie służyć ludowi za przewodnika.

Jeżeli zatem mówimy o konieczności ochrony sztuki ludowej, to nie w tym znaczeniu, jakobyśmy chcieli tamować ludowi drogę do postępu i przypuszczali, że jakakolwiek dziedzina życia może być wyjęta z pod ogólnych praw wiecznej zmienności i płynności. Chodzi tylko o uchronienie ośrodków sztuki ludowej od tego upadku, jaki nasza sztuka przeszła w XIX wieku i którego skutki do dziś jeszcze trwają, pomimo, że zdajemy sobie już z nich sprawę. Sami musieliśmy przez ten etap upadku przejść, ponieważ w chwili załamania, „drogi szukając choć przed wiekami zrobiona", byliśmy zdani na własne tylko siły. Odcyfrowanie znaków wiodących na właściwe drogi zabrało nam masę energii i dlatego musimy przyznać, że dziś wstępujemy na te drogi dość wyjałowieni. I oto spotykamy się ze świeżymi, pełnymi bezpośredniości ośrodkami sztuki ludowej. Tkwiły one na tych drogach oddawna, dzięki nakazom swoich tradycyj, może przez bezwład i inercję, może dlatego, że nic z zewnątrz nie zachwiało ich równowagi. Nie wchodząc bliżej w przyczyny tego zjawiska wystarczy stwierdzenie faktu, że drogi te się spotykają, i że wytwory sztuki ludowej, czy nimi będzie architektura, czy rzeźby, czy tkaniny, hafty i krój ubrań, czy wyroby snycerskie, ceramiczne i t. p. odpowiadają w całej pełni tym samym prawom i zasadom, na podstawie których współczesny artysta o miejskiej kulturze poczyna kłaść podwaliny pod odradzającą się sztukę naszych czasów.

Różnica faktyczna między tymi dwoma równoległymi odłamami sztuki polega na pełni życia i rozwoju sztuki ludowej oraz na ogromnych zasięgach jej ośrodków, w przeciwieństwie do ciągłych wahań i kontrolowania się na podstawie uznanych już przesłanek teoretycznych, nielicznych ośrodków odradzającej się nowej sztuki. Podchodzenie do zagadnień sztuki od strony teoretycznej pociąga bowiem za sobą konieczność teoretycznego ujmowania każdego wyłaniającego się problemu, każdego najmniejszego i pozornie małoznacznego etapu pracy, i w rezultacie ogromną trudność ogarnięcia całości. To też można powiedzieć, że odradzająca się nowa sztuka zatrzymuje się najczęściej na niewielu punktach, które artysta współczesny ujmuje we właściwy i słuszny spsób, i w którego ujmowaniu nie bruździ mu już narzucony balast z czasów upadku sztuki. W ośrodkach sztuki ludowej natomiast wszystko jest jasne i przejrzyste, i cały wysiłek wytwórczy może być skierowany na robotę wyłącznie pozytywną, niema bowiem żadnej potrzeby porania się z tysiącem narzucających się problemów, obcych istocie formy i tworzywa, i uzasadniania przed samym sobą potrzeby negatywnego ustosunkowania się do nich.

Różnica zaś formalna polega głównie na tym, że artysta współczesny pracuje z myślą o przyszłości kultury artystycznej, w której tworzeniu bierze udział, a wytwórcy ludowemu, który tak pewnie i z takim przekonaniem kroczył dotychczas po swoich tradycyjnych drogach, naskutek zmian, zachodzących w społecznym życiu wsi, usuwają się z pod nóg podstawy, na których jego sztuka wyrosła.

I na tym polega największa trudność zagadnienia.

Lud uczy się dziś inaczej żyć i myśleć innymi kategoriami, i nie umie o własnych siłach powiązać tych nowych form życia i myślenia ze starą swoją sztuką, która mu się wiązała dotychczas z innym zupełnie, ginącym obecnie podłożem.

Bezcelową i daremną byłaby chęć przeciwstawiania się temu procesowi historycznemu, który prowadzi za sobą zmiany w strukturze życia wsi. Trzeba się jednak zastanowić nad tym, czy zmiany w socjalnym i ekonomicznym życiu wsi muszą bezwzględnie prowadzić za sobą ruinę tych wartości, jakie sztuka ludowa przedstawia. I na tę kwestję odpowiedź twierdząca byłaby zupełnie nieuzasadnoina. Nie chodzi nam przecież o zachowanie sztuki ludowej ze względu na jej odrębności etniczne, ale ze względu na to, że to jest sztuka o wysokiej wartości artystycznej. Te dwa momenty, tak ściśle w sztuce ludowej z sobą związane, w zasadzie należałoby rozdzielić i wyjaśnić sobie, że o ile zachowanie etnicznej odrębności ludu na dłuższy przeciąg czasu wydaje się dziś czymś bardzo problematycznym, o tyle za zupełnie konkretny postulat możemy uważać zachowanie tych objektywnych walorów, jakie sztuka ludowa przedstawia, tych tradycją przekazywanych praktyk, umiejętności władania środkami, tej nieograniczonej i niczym nie zaćmionej swobody w podchodzeniu do zagadnień artystycznych, na których wyrasta nieprzebrane bogactwo i żywość sztuki ludowej.

Chodziłoby zatem o uchwycenie istoty zagadnienia we właściwym punkcie i o pokierowanie ośrodkami sztuki ludowej w tym przełomowym czasie w taki sposób, aby lud nie zatracił wyjątkowej wprost umiejętności wypowiadania się w plastyce, jaką posiada, a w której właśnie leży sedno zagadnienia. Chodziłoby o umiejętne wskazanie wytwórcom ludowym na tę istotę rzeczy, o przetłumaczenie niejako na dzisiejszy język tego, co oni wiedzą, ale co wyrazić umieją tylko w plastyce, i do czego obecnie pod wpływem zewnętrznych okoliczności poczynają tracić przekonanie, ponieważ pozornie nie łączy się to z nowymi formami ich życia. Praca taka wymagałaby specjalnych warunków, a przede wszystkim długiego czasu, ażeby ten proces pewnego rodzaju adaptacji mógł się odbyć naturalną koleją, ponieważ tą tylko drogą mogą powstawać organizmy zdrowe i zdolne do życia. Nie każdy artysta czy też teoretyk sztuki o najwyższej nawet kulturze ma dane do podjęcia się tego wyjątkowo trudnego zadania. Nie jest bowiem łatwo dojrzeć te potencjonalne dane, tkwiące w ośrodkach sztuki ludowej, nie jest łatwo samemu przeanalizować wytwory sztuki ludowej z właściwego punktu widzenia w taki sposób, aby na podstawie tej analizy znaleźć styczne do kontaktu z ludem. Są to rzeczy w zasadzie bardzo proste — tak proste, że aż zdawałoby się za trudne do uchwycenia dla naszej skomplikowanej i pełnej niepokoju psychiki. Zasadniczo jednak nie są to rzeczy niemożliwe dla kogoś, k t o s a m z g ł ę b i ł z a g a d n i e n i e f o r m y p o d k ą t e m w i d z e n i a t w o r z y w a, a n i e g e n e z y i h i s t o r i i, i kto potrafi zrzucić z siebie balast myślowy, nie pozwalający spojrzeć własnymi oczami na otaczający świat.

Oczywiście, że próby w tym kierunku mogą robić tylko specjaliści o wyjątkowych zupełnie kwalifikacjach, rozpoczynając od przeprowadzenia odpowiednich studjów i przygotowań.

Czy pewne ośrodki sztuki ludowej wciągnięte w ten sposób w orbitę naszej współczesnej kultury artystycznej nie zmieniłyby lub nie utraciły swego dotychczasowego charakteru etnicznego, trudno dziś przewidzieć; najprawdopodobniej takby się stało, zwłaszcza w ośrodkach bardziej eksponowanych na proces urbanizacji, w których i bez tego moment etniczny szybko zanika, a tradycje wytwórczości ludowej są jeszcze do uchwycenia. W takich ośrodkach uratowanie poziomu artystycznego, pomimo utraty etnicznego charakteru, byłoby już bardzo wielkim zwycięstwem.

*

Czy niezależnie od tego możliwe jest zachowanie sztuki ludowej we właściwym tego słowa znaczeniu, t. j. o jej charakterze etnicznym i bez żadnych zmian, to znów inne pytanie, na które odpowiedź — na podstawie znajomości dotychczasowego przebiegu przeobrażeń w życiu wsi — musiałaby wypaść raczej negatywnie. Żyjemy jednak w okresie wielkich przemian kulturalnych i nie możemy zgóry przewidzieć całkowicie ich rezultatu. Czy możemy dziś z całą pewnością twierdzić, że koła naszej kultury toczyć się muszą bez żadnych zmian po tych torach, na jakie pchnął je wiek XIX i po których idzie dziś urbanizacja wsi? Historia ostatnich wieków uczy nas, w jak stosunkowo szybkim czasie nowe idee przybierały realne kształty i przemieniały z gruntu formy i treści, które wydawały się w pewnych epokach czymś jedynie możliwym i nienaruszalnym. W każdym razie żadne, na najsłuszniejszych nawet przesłankach oparte przewidywania zmian, jakim żywe ośrodki sztuki ludowej mają ulec w przyszłości nie zmieniają faktu, ż e d z i s i a j o n e ż y j ą i p r z e d s t a w i a j ą d l a n a s w a r t o ś ć k o n k r e t n ą, jako ogromne, na swój sposób zorganizowane i na właściwych zasadach oparte wytwórnie sztuki stylowej. Sprawa ochrony sztuki ludowej jest więc niczym innym, jak tylko kwestją rozumnej gospodarki zasobami, jakie posiadamy, ale których nie doceniamy i które w najlekkomyślniejszy sposób trwonimy przez tolerowanie wszelkich poczynań dyletantów, spekulantów i niedouczków, grasujących bezkarnie na sztuce ludowej.

Organizacja rozumnej opieki nad sztuką ludową napotyka na trudności z powodu nieprzygotowania i nieuświadomienia naszej inteligencji właśnie, a nie ludu. Każde zwrócenie uwagi na wartość sztuki ludowej pociąga za sobą wzrost zainteresowań, i w dalszej konsekwencji wzrost nieprzemyślanej, niszczycielskiej aktywności. Łatwiznę w podejściu do sztuki ludowej możnaby nawet wziąść za sprawdzian poważnego odnoszenia się do tego zagadnienia: im mniej się kto orientuje w podstawowych prawach, rządzących zagadnieniem formy, tem podejście do sztuki ludowej wydaje mu się łatwiejsze, a kto wogóle nie zdaje sobie sprawy z odrębności kultury ludowej i nie widzi problemów, wiążących się z odrodzeniem sztuki współczesnej, ten bez długich namysłów przystępuje do kopiowania motywów ludowych i do „nauczania" wytwórców ludowych w szkołach i na kursach. Niezrozumiała zupełnie w dzisiejszym stanie postępu nauki etnografii ignorancja i tupet w stosunku do „ludowości" doprowadza m. i. do takich absurdów, jak np. dowolne komponowanie „strojów ludowych" o operetkowym posmaku, jakich pełne są różne uroczystości prowincjonalne i bale w ambasadach, a jakie możnaby uważać za charakterystyczne dla naszej epoki przykłady pseudoludowości.

Otóż chronić musimy sztukę ludową przede wszystkim przed człowiekiem bezmyślnym i człowiekiem szablonowym. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że zadaniem naszym nie jest w tym wypadku d a w a ć ludowi w gotowej formie coś przez nas znanego i przetrawionego (jak np. w akcji oświatowej, gospodarczej i t. p.), ani też nie jest naszym zadaniem b r a ć od ludu to, co on wytwarza i co pragnęlibyśmy posiadać, jak to traktuje wielu organizatorów handlu wytworami ludowymi. Zadaniem naszym jest o c h r o n a sztuki ludowej, a branie, dawanie i inne formy współpracy z ludem na tym polu, to tylko środki, wiodące do tego głównego celu.

Trzeba przyznać, że na tym polu następuje w ostatnich czasach pewna poprawa, objawiająca się w tym, że wiele osób traci powoli tupet, z jakim zabierano się powszechnie do niedawna do sztuki ludowej i pragnie rady, instrukcyj, wskazówek. Literatura nasza jest jednak pod tym względem dotychczas jeszcze bardzo uboga, a kwestja ochrony sztuki ludowej jest czymś bardzo świeżym i nie opracowanym jeszcze dostatecznie. Niema możności dać wyczerpującej odpowiedzi na najczęściej stawiane pytania, w jakich okolicach na jakie działy sztuki ludowej trzeba zwracać uwagę, co i w jaki sposób chronić. Idąc po linii, jaka wyrobiła się obecnie wogóle w naszym stosunku do życia i dostrzeganych zjawisk, nasuwałaby się poprostu myśl rozpoczęcia od monograficznego opracowania wszystkich żyjących jeszcze ośrodków sztuki ludowej. Olbrzymiej tej pracy niepodobna byłoby jednak dokonać w dość szybkim czasie, a tymczasem każdy rok przynosi w ośrodkach sztuki ludowej nowe szczerby i straty niepowetowane. A zresztą najdokładniejsze nawet zinwentaryzowanie nie mogłoby tu dać wystarczającego rozwiązania, nie byłoby wyjściem z sytuacji. W ośrodkach bowiem, gdzie lud żyje według starych swoich tradycyj, sztuka ludowa żyje również i podlega naturalnym przemianom; na miejsce zinwentaryzowanej dziś formy może się jutro pojawić inna, równie słuszna i równie godna ochrony. Ochrona sztuki ludowej nie może zatem polegać na ochronie pewnych form, ani nawet na ochronie takich czy innych ośrodków i warsztatów. Polega ona na ochronie tych metod, jakimi lud podchodzi do zagadnień formy, a szerzej biorąc, na ochronie tych zachowanych przez lud władz,

* Por. *Pion* nr. poprzedni.

które mu pozwalają bez specjalnych wysiłków, z całą swobodą, tworzyć rzeczy o tej wartości artystycznej, jakie widzimy w sztuce ludowej.

Kierunek, w jakim poszło obecnie wychowanie człowieka o miejskiej kulturze pozbawiło nas tych władz nieomal że doszczętnie na korzyść rozwinięcia przede wszystkim intelektu. Jednym z dowodów jest np. to, że artyści nasi „tworzą w męce“ przedzierając się z trudem przez całe nawarstwienia różnych teoryj i pojęć, które hamują ich przyrodzony impuls; że dzieci nasze, najbardziej nawet artystycznie uzdolnione, po wyjściu z okresu dzieciństwa poczynają rysować banalnie, tracąc wszelką pod tym względem fantazję i pomysłowość [1]. W społeczeństwie o innej strukturze psychicznej, zamiast tracić, dzieci mogłyby napewno rozwijać w miarę dojrzewania swoje potencjonalne dane w dziedzinie artystycznej i w rezultacie brać czynny udział w wypowiadaniu się społeczeństwa zapomocą właściwych danemu środowisku dzieł sztuki, podobnie, jak to się dzieje w środowiskach kultury ludowej.

Poszukiwanie jakiegoś konkretnego punktu zaczepienia dla władz ludzkich, dla których w dzisiejszej racjonalistycznie zorjentowanej kulturze niema już miejsca, możemy obserwować u wielu czołowych artystów europejskich, począwszy od Gauguin'a. Może nasunąć się pytanie, czy wzrastające wśród artystów zainteresowanie i entuzjazm dla sztuki ludów „myślących postaciami“, jak murzyńskiej, polinezyjskiej i t. d. oraz ludowej europejskiej, i równoczesny wzrost zainteresowań w krajach zachodniej Europy etnografią nietylko ludów egzotycznych, ale również i miejscową kulturą ludową, nie wskazuje w znamienny sposób dróg, po jakich nasza intelektualistyczna kultura idzie na poszukiwanie tych wartości, jakich nie może już znaleźć u siebie? [2]. I może właśnie odpowiednie ustosunkowanie się do żywych ośrodków sztuki ludowej da nam realny i konkretny punkt zaczepienia w dążeniu do wyprostowania naszej zagmatwanej i gubiącej się w tysiącu nieistotnych problemów psychiki.

HELENA SCHRAMMÓWNA

[1] Stefan Szuman. *Sztuka dziecka.* Warszawa 1927, str. 84 i ln.

[2] Cezarja Baudouin de Courtenay Jędrzejewiczowa: *Dwie kultury i dwie nauki.* Warszawa 1936 (odbitka ze *Zrębu* nr. 1 (25).

„WIELKOŚĆ I UPADEK RZYMU”

Pojawienie się dwóch pierwszych tomów przekładu Guglielma Ferrero *Wielkość i upadek Rzymu* wywołało w kolach fachowych pewne zdziwienie i zastrzeżenia. W oryginale książka ta p.t. *Grandezza e decadenza di Roma* ujrzała światło dzienne lat temu 30 (5 tomów, w l. 1902-07), wkrótce też ukazała się w języku francuskim (6 tomów, w l. 1904-08). Jeśli zważyć, w jak zawrotnym tempie rozwijają się studia nad starożytnością w ostatnich dziesięcioleciach, to dzieła Ferrera nie można uznać za „ostatnie słowo“ nauki historycznej. Zresztą już dawniej budziło ono co najmniej tyleż krytyki, co entuzjazmu. Nasuwa się zatem pytanie, czy słusznie i celowo dokonano wyboru książki, zwłaszcza że cierpimy na niesłychane ubóstwo w przekładach naukowej literatury, a dzieło Ferrera w 6 tomach stanowi, jak na obecne czasy, poważną imprezę wydawniczą.

Wszystkie te zastrzeżenia jednakże tracą wiele na swej mocy, skoro książkę przeznacza się nie dla specjalistów, lecz dla szerokich kół kulturalnych czytelników. Pod tym względem walory jej są wyjątkowe i spełnia ona swą rolę tak samo dziś, jak lat temu 30. Niezależnie jednak od nich, dzieło Ferrera stanowi pewną, ustaloną pozycję w nauce, pod warunkiem stosowania wobec niego *właściwych kryteriów.* Ferrero nie jest typem *historyka-erudyty* i jego *Wielkość i upadek Rzymu* nie może służyć w roli podręcznika, systematycznego i bezstronnego wykładu dziejów. Możnaby nawet sprzeczać się o to, czy w ręku bezkrytycznego czytelnika nie przynosi tyleż szkody, co pożytku. Z drugiej jednak strony, odmawianie Ferrerowi kwalifikacyj na historyka Rzymu—jak to uczynił niedawno recenzent w jednym z dzienników warszawskich — polega na nieporozumieniu i brzmi dość buńczucznie. Ferrero niewątpliwie czuje się w dziejach rzymskich jak u siebie w domu i nie jest tu żadnym laikiem i amatorem. Wystarczy, jeśli powołamy się na autorytet znakomitego historyka włoskiego Barbagallo, który wysoko ocenił walory naukowe dawniejszych dzieł Ferrera, a niedawno wespół z nim wydał jedno z nowszych opracowań historii Rzymu (*Roma antica*, r. 1921-22); możnaby przytem dodać, że od r. 1930 F. piastuje katedrę historii w Genewie. Ale... przytaczam te fakty nie poto, by zaprzeczać samemu sobie: zarówno z wykształcenia, zainteresowań, talentu, jak i temperamentu, F. jest raczej *historiozofem*, *socjologiem* niż historykiem. Praca jego: *La donna delinquente* (r. 1893), *L'Europa giovane* (r. 1898) i inne szły w kierunku socjologicznym, a przebogata twórczość publicystyczna świadczy o jego skłonnościach i zainteresowaniach naogół obcych historykom-erudytom. Wolno sądzić, że F., pisząc *Wielkość i upadek Rzymu*, daleki był od myśli rywalizowania z nimi na polu erudycji i że nie zamierzał bynajmniej tworzyć jakiś nowy *Handbuch der römischen Geschichte.* Chodziło mu natomiast o pewien *pogląd* na dzieje rzymskie, w szczególności na kształtowanie się, rozwój i upadek państwa rzymskiego, jak to formułuje na wstępie. Czy takie zadanie autor wypełnił — oto właściwe pytanie, które staje przed krytyką. Otóż, czytelnika, który szuka u F. rozwiązania zagadnienia — jakie były *czynniki potęgi i upadku* Rzymu, spotyka zawód. Autor nie wykonał swego zamierzenia, albowiem, nie licząc krótkiego zarysu wstępnego, zamknął swe sześciotomowe dzieło (w jęz. franc.) w zbyt wąskich ramach chronologicznych: od śmierci Sulli (r. 78 przed Chr.) do śmierci Augusta (r. 14 przed Chr.). W takich ramach nie mógł nam dać „syntezy“ dziejów rzymskich, jak to się czasem niesłusznie nazywa jego dzieło, ani też nie zrealizował zapowiedzianego na wstępie planu, który jedynie usprawiedliwiał obiecujący tytuł *Wielkość i upadek Rzymu.* Jeśli częściowo uwzględnił czynniki potęgi Rzymu, to już w żadnym razie nie wyjaśnił procesu jego upadku. Niewiele również światła rzucił nań w swej krótkiej pracy, wygłoszonej w odczycie i potem opublikowanej (w r. 1921) p. t. *La ruine de la civilisation antique.* Zawód ten, wynikający z dysproporcji między tytułem i treścią dzieła, zbyt często spotyka czytelnika, by miał narazić autora na jakieś potępienie. Podkreślamy to tylko, by czytelnik nie szukał w książce tego, co zapowiada tytuł.

Dwa pierwsze tomy, które ukazały się w tłum. L. Staffa, obejmują dzieje rzymskie mniej więcej od Grakchów (ściślej od śmierci Sulli) a kończą się na idach marcowych r. 44. Stanowią one właściwie obraz głębokiego *kryzysu*: socjalnego, gospodarczego, moralnego, politycznego Rzymu w ostatnim stuleciu rzeczypospolitej. F. operuje tu bogatym materiałem źródłowym, niezliczoną ilością faktów, które służą mu do przedstawienia *procesu* czy *ducha rewolucji*, *mechanizmu* przemian socjalnych Rzymu republikańskiego. Zarówno postacie historyczne, jak i całą politykę zewnętrzną (imperializm) wprzęga autor w ów zasadniczy proces rozkładu dawnego społeczeństwa rolniczo-arystokratycznego i wytwarzania się nowego — mieszczańsko-kapitalistycznego.

Postawa Ferrara wobec badanej rzeczywistości historycznej nie jest postawą wyłącznie obserwatora i rejestratora wydarzeń, stara się on nieustannie odsłonić ukryte motywy działania i „ducha“ epoki. Więcej, przemawia do nas często badacz życia współczesnego, socjolog, historiozof, publicysta, czy też, jak kto woli, moralizator. Czujemy, że autor zagląda nietylko do źródeł przeszłości, ale szuka w otaczającej go rzeczywistości, w doświadczeniach aktualnych, klucza do zrozumienia kryzysu dawnego. Albo odwrotnie, w owej przeszłości szuka potwierdzenia prawd czy praw ogólnych. Albo znów ustala, na czym polega zasadnicza różnica pomiędzy kapitalizmem i imperializmem starożytnym i dzisiejszym. Słowem, wykracza nieraz poza badaną epokę i zbliża ją do nas, a że każdy wielki kryzys ma pewne elementy wspólne, lub podobne, tem żywiej dziś reagujemy na lekturę znakomitego malarza rewolucji rzymskiej. Zresztą, niezależnie od tego, plastyczny, pełen dynamizmu i dramatyzmu obraz ludzi i wydarzeń, odmalowany z pasją i talentem niezwykłym przykuwa czytelnika, który czyta książkę Ferrera jednym tchem, jak romans. Czytelnik pod tym urokiem estetycznym „dramatu“ rzadko kiedy skłonny jest do dyskusji, chętnie ulega sugestji mistrza. Ale ten artyzm właśnie zmusza autora do operowania tak jaskrawymi kontrastami, że trudno nieraz znaleźć dla nich potwierdzenia w rzeczywistości historycznej. Kiedy zestawia ze sobą epokę kryzysu i czasy dawniejsze, to z jednej strony wszystko zabarwia się czernią, z drugiej zaś wypełnia jasnością, światłem. Ta antyteza szczególnie jaskrawo występuje w ocenie moralności. Oto mamy przed sobą obraz społeczeństwa dawnego (z przed wojen punickich), rolniczego, arystokratycznego, wojennego; nie zna rozkładowych czynników postępu, nowinkarstwa, trzyma się tradycji, „formalizm, empiryzm, zabobon wydawały się najbliższymi formami mądrości“.

Takie społeczeństwo, związane dyscypliną moralną, trzeźwe, wstydliwe, uczciwe, prawe, cierpliwe, spokojne, nie hołdujące występkowi i uciechom, konserwatywne i proste podbiło Italię.

Czy obraz ten odpowiada „rzeczywistej rzeczywistości“ historycznej, czy wydaje się prawdopodobny, czy na przestrzeni wielu stuleci aż do epoki wielkiego kryzysu panował stan zupełnej statyki w życiu rzymskim?

Czy obraz ten jest raczej zbyt uproszczoną konstrukcją tej rzeczywistości, czy nie przypomina dobrze znanej nam idealizacji zamierzchłej przeszłości u historyków rzymskich i innych, idealizacji powstałej na tle tęsknoty za inną rzeczywistością niż przeżywana?

Zresztą, jeśliby zgodzić się w zasadzie z autorem w ocenie starorzymskiej moralności, to czy mogła ona wraz z całym prymitywizmem społecznym i kulturalnym ostać się, nie narażając Rzymu jednocześnie na rolę jednego z wielu małych i słabych państewek Italii, czy nawet wasala obcych? Czy ten prymitywizm, który podniesiony został do roli czynnika potęgi Rzymu, nie byłby w rozwoju dziejowym zawadą? Czy mógł ostać się przy zetknięciu się Rzymian z wyższymi formami cywilizacji? Czy nie zachodziła tu alternatywa; albo przejść ją albo podporządkować się potężniejszym rywalom? Czy właściwie postępuje Ferrero, gdy izoluje dzieje rzymskie od dziejów innych ludów, z którymi Rzymianie stykali się i współzawodniczyli, zanim nastąpił ów kataklizm wojen punickich? Czy dla rozwoju potęgi rzymskiej, dla zachowania życia nie musiał Rzym poddać się „prawu“ szerzenia się i przejmowania cywilizacji wyższej Etrusków, Greków, Wschodu i t. d.? Oto pytania, które cisną się bez liku, gdy próbujemy analizować obraz społeczeństwa starorzymskiego. Tym silniej budzą się wątpliwości, że jakby raptownie zmienia się on w swą antytezę. Nagle następuje rozkład, dokonywa go niszczycielski „duch merkantylny“, kupiecki, kapitalistyczny. Zabija on dawne instytucje, dawne klasy panujące i dawną moralność. Gwałtownie rosną bogactwa a wraz z nimi rodzi się zbytek, chęć użycia, żądza pieniędzy. Na miejsce społeczeństwa rolniczego wyrasta mieszczaństwo. Rozprzęga się dawna dyscyplina moralna; walki klas, grup, koteryj, jednostek, wprowadzają stan chronicznego niepokoju. Dzikie instynkty, niepohamowane namiętności szarpią rzeczpospolitą. Duch nowinkarstwa i zuchwalstwa, chciwość i rozpusta, lenistwo i niekarność, wygórowane ambicje i fanfaronada — oto klimat moralny epoki kryzysu. „Duch merkantylny“ sięga wszędzie, pieniądz staje się zarówno narzędziem, dźwignią polityki, kariery, jak i jej celem. Przekupstwo i gwałt zapanowują w życiu publicznym, od którego

UŚMIECH PANI MECENASOWEJ

Był to właśnie czas, gdy na korytarzu drugiego piętra powstał popłoch. Pulchna siostra Felicja podkasała spódnicę i, biegnąc, powtarzała: „Kto mu to powiedział! kto śmiał mu to powiedzieć!“ Teraz w głębi korytarza okropne dźwięki zlały się w nieprzerwane wycie. Koło łazienki zgromadziło się pięciu czy sześciu chorych, twarze wszystkich były zmieszane, przybladłe, jeden z nich powiedział:

— Żeby przynajmniej przyszedł gruby!

Drugi odpowiedział:

— Ale kiedy chirurg Brieg operuje od samego rana!

Zamilkli, gdyż wtedy właśnie minęła ich mecenasowa Wiklińska.

Pachniała jeszcze mrozem, w oczach miała śnieżny blask, ale twarz jej była jak zawsze obojętna, biała, dobrze zrobiona pomadką i ołówkami. Z początku nie wyczuła popłochu wokoło. Szła do kancelarii, aby uregulować rachunki i uprzedzić, że mąż postanowił wyjechać pojutrze. Zaledwie zrobiła kilka kroków, gdy z tyłu popchnęła ją biegnąca siostra Felicja. — Proszę siostry... — zaczęła. Ale zakonnica spojrzała na nią mętnie, rogowe okulary błysnęły, zakonnica nie zatrzymując się powtórzyła: „Kto mu to powiedział, o Chryste Panie!“ Mecenasowa odsunęła się w zgorszeniu.

Dopiero wówczas zauważyła na korytarzu pewną zmianę: zazwyczaj przechadzało się wzdłuż okien dwóch trzech chorych — obecnie około łazienki zebrała się cała gromada; zazwyczaj dźwięki rozlegające się w głębi były pieściwe, ciche, teraz rozbrzmiewały rozdzierającym wyciem na całe piętro. „Co się tu dzieje?“ pomyślała i mimowoli przyśpieszyła kroku. Biegnąca przed nią zakonnica zniknęła za drzwiami pewnej sali. Teraz nie ulegało wątpliwości, że właśnie stamtąd dochodziło wycie. Mecenasowa, przechodząc, wstydliwie zerknęła w bok, lecz drzwi były zamknięte, mecenasowa spostrzegła tylko czerniejący numer dwieście siedemnaście.

„Ciekawa jestem, co się tam stało?“, myślała, podchodząc do klatki schodowej i oglądając się po raz ostatni. Przed oczami mignęły zmieszane twarze chorych. Słyszała, jak jeden z nich powiedział: „Pójdę jednak poszukać grubego“. Potem czyjś chałat wyłonił się z pod jej łokcia, i na schodach zobaczyła zsuwającą się wdół pasiastą postać. Lecz już na półpiętrze, dokąd wycie nie dolatywało, popłoch zniknął i mecenasowa powróciła do poprzednich myśli. „Hotel i separatka kosztuje nas Bóg wie ile! — westchnęła. — Trzeba ustalić, czy honorarium lekarskie będzie wliczone do ogólnego rachunku?“ Rozsiewając wokoło słodkawą, paryską woń, zapukała do kancelarii.

Była jednak przerwa w urzędowaniu, tabliczka głosiła, że kancelaria otwarta będzie dopiero o piątej. Nie było więc rady, należało wracać. „Biorą tyle pieniędzy, a nawet nie mają windy!“ narzekała, idąc z powrotem. Minęła pierwsze piętro całkiem spokojnie, ale już począwszy od połowy drugiego, uczuła jak na nowo zaczął ogarniać ją niepokój. Zdawało się jej, że nie po schodach, lecz po własnych nerwach wspina się coraz wyżej.

Z góry dolatywało wycie. Teraz było zupełnie bezwstydne, mecenasowa miała wrażenie, że z każdym stopniem zbliża się do nagiego, męskiego aktu. „Co się tam dzieje?“ zapytywała. Była już na korytarzu. Chociaż zejście w dół zajęło najwyżej parę minut czasu, znowu zauważyła pewną zmianę: gromadka chorych, stojąca przedtem koło łazienki, obecnie — znacznie liczniejsza — otoczyła półkolem próg sali numer dwieście siedemnaście. Z poza drzwi dolatywał zdławiony głos siostry: „Niech pan temu nie wierzy, to nieprawda!“

Mecenasowa przysłuchiwała się przez sekundę, ponieważ jednak przyłapała na sobie szorstkie spojrzenia chorych, wzruszyła ramieniem i chciała iść dalej, gdy wtem pod dwieście siedemnastym coś stuknęło, słychać było odgłosy przypominające walkę, potem zdyszany, błagający okrzyk:

— Niech pan przestanie!...

Natychmiast potem od jednego pchnięcia rozwarły się drzwi i na progu ukazała się siostra Felicja. Za jej plecami mignęły białe poręcze łóżka i jakaś ciemna okrągła plama, tkwiąca między poręczami. Lecz zakonnica zaraz pociągnęła za klamkę, i już nic, poza numerem dwieście siedemnastym nad głową, nie było widać Z pod kornetu zwisały w nieładzie włosy, wargi poczęły jej drżeć, i oto nagle wykrztusiła:

— Gryzie! wciąż gryzie! panowie słyszą?

Nie panowała nad sobą.

— Panowie, proszę się rozejść! — wołała, chwytając chorych za rękawy. — Czego tu stoicie! niema się czemu przyglądać!

W chwili następnej już zapomniała o nich, rogowe okulary spotkały się z oczami mecenasowej; zakonnica jednak nie poznała jej, zapytała: „Czego pani sobie życzy? Teraz nie mam czasu!“ Poczem bezradnie i szeroko rozwarła usta: — Ignacy!... — wydarło się jej z gardła.

Ale sanitariusz był na pierwszym piętrze, wołała więc napróżno. Półkole chorych rozsunęło się, mecenasowa cofnęła się również, zakonnica niespodziewanie dziecięcym, płaczliwym głosikiem poskarżyła się: „Kto mu to powiedział!..“

Z pod dwieście siedemnastego bez przerwy dochodziło głuche, tęskne wycie. Niczem żywe, śliskie stworzenie wypełzło przez próg, i oto czołgając się, wlazło pod suknię mecenasowej, ciepłym wilgotnym dreszczem. Otrząsnęła się, chciała odejść czym prędzej, lecz nogi nie usłuchały, zatraciły sprężystość, stały się miękkie, bez ścięgien. „Co się dzieje?“ — myślała w kółko. Zakonnica, rozwarłszy usta, wreszcie przebiegła obok.

Mecenasowa znowu zrobiła wysiłek, żeby ruszyć z miejsca, ale znowu nie udało się jej oderwać nóg od podłogi, stała wlepiwszy wzrok przed siebie. Nagle przypomniała sobie pewien wypadek.

Było to w Warszawie, na ulicy. Upadł dorożkarski koń. Szczerzył pysk, chrapał, dyszle ciągnęły szyję do góry i dławiły go, koń boleśnie poruszał kopytami, ślizgającymi się po mokrej jezdni. Mecenasowa wracała do domu ze sprawunkami, śpieszyła się bardzo, mimo to zatrzymała się na rogu, nie mogła oderwać się od widoku żałośnie wykrzywionej szyi końskiej. Wówczas, jak i teraz, stała przez chwil kilka przykuta, chociaż teraz było co innego. Teraz zawia-

stronić poczynają klasy wyższe, pochłonięte swymi sprawami osobistymi: gospodarczymi i kulturalnymi.

Polityka zewnętrzna przechodzi od senatu w ręce wodzów, którzy nie znają żadnych hamulców moralnych w urzeczywistnianiu swych ambitnych planów. Oni to rozwijają dziki i drapieżny imperializm, którego celem jest łupienie podbitych; „grabież wojskowa była odtąd najzyskowniejszym przemysłem w Italii". Rządzenie prowincjami i wojna — oto niewyczerpane źródła nowych fortun, za które kupuje się wierność żołnierzy, głosy ludu i wpływowe osobistości.

Imperializm rabunkowy staje się koniecznością dla społeczeństwa mieszczańskiego, które zresztą stroni od trudów służby wojennej, zwalając je na armię zawodową.

Kryzys gospodarczy, socjalny, moralny i polityczny niszczy dawną strukturę społeczeństwa i państwa. Ludzie łamią się i jak „we wszystkich epokach zbyt chciwych uciech i pieniędzy" nie umieją długo pozostawać w mniejszości, zmieniają łatwo zdanie". Ci, co idą pod prąd (jak np. Grakchowie), muszą ulec i należy oceniać ich dzieło „raczej wedle zamysłów i pobudek niż wedle rezultatów". Albo, jak Kato Mł. — „człowiek ograniczonego umysłu, ale za to z jednej bryły, szczery, uczciwy, cnotliwy, niezłomny, nieskazitelny i nieustraszony", kończą tragicznie w obliczu triumfu sił nowych. Ale to nieliczne wyjątki, które nie zmieniają barwy całości. Inni, i to najwięksi mężowie tych czasów, nie wyłączając Cezara, opanowani są duchem nowej epoki. Właśnie Cezar jest najlepszym wyrazicielem ducha n i s z c z y c i e l s k i e g o, nie jest on żadną siłą konstruktywną, ale tym, który przyspieszył rozwijanie kryzysu starych instytucyj przeżytych; „w tej roli niszczyciela należy go podziwiać, gdyż rola ta wymagała inteligencji i energii na skalę niemal nadludzką". Nie znał on, podobnie jak inni, przyszłości, którą wykuwał, będąc „igraszką zdarzeń" czy bezwiednym narzędziem „Przeznaczenia", „człowiekiem fatalnym" historii europejskiej. Ani on, ani inni, współcześni mu nie potrafili panować nad wypadkami; wśród powszechnego zamieszania i braku równowagi moralnej wybuchały żywiołowo ukryte antagonizmy i wola ludzka była wobec nich bezsilna.

Nie sposób nawet w części oddać tu bogactwa uwag i myśli, ani dramatyzmu epoki i jego ludzi, które przeżywa czytelnik książki Ferrera. Ale znów cisną się pełne wątpliwości pytania. Czy autor dał obraz pełny i wierny owych burzliwych czasów przewrotu? Czy uwzględnił w nim wszystkie ówczesne siły społeczne Rzymu i Italii? Czy nie można było odnaleźć w nich żadnego promienia jasnego? Jak wyjaśnić sobie na tle tej ciemnej rzeczywistości sukcesy imperializmu rzymskiego w ostatnim stuleciu rzeczypospolitej? Czyżby tajemnica jego powodzenia sprowadzała się do szczęśliwego zbiegu okoliczności, jakim był stosunek sił rzymskich do sił świata zewnętrznego, z którym walczył? Czy w jaskrawym obrazie, namalowanym przez F., nie zaginęły jakieś siły moralne, które stanowiły czynniki potęgi ówczesnego Rzymu? Czy sprawiedliwie autor ocenił wybitne postacie historyczne? Czy wyjaśnił nam ich znaczenie, sprowadzając do roli narzędzia „Przeznaczenia"?

Ale wróćmy do naszego zasadniczego kryterium. Bogactwo myśli, mistrzowskie charakterystyki, wnikliwość psychologiczna, śmiałe odsłanianie motywów działania i obalanie popularnych legend, artyzm godny wielkich piór — wszystko to nietylko daje czytelnikowi niezwykłe emocje, ale z a p ł a d n i a m y ś l, pobudza do stawiania nowych zagadnień, uczy patrzeć z nowych punktów widzenia. To niewątpliwe i nie jedyne zasługi znakomitego pisarza i uczonego włoskiego. Nie wydaje nam się jednak, by autor odsłonił przed nami właściwy proces kształtowania się, rozwoju i upadku Rzymu. Ani dwa pierwsze tomy, ani całość dzieła nie rozwiązują tego zagadnienia. Po przeczytaniu nie przestaje być dla nas tajemnicą zarówno wielkość jak i upadek Rzymu.

M. H. SEREJSKI

GŁOS ŚLĄSKA

Od lat dwóch działa na Śląsku Instytut Śląski, powołany do przeprowadzania systematycznych badań nad zagadnieniami śląskimi. Pogłębia on znajomość Śląska odczytami i wydawnictwami. Co piątek w pięknej sali Domu Oświatowego w Katowicach odbywają się odczyty pozyskanych prelegentów, przeważnie profesorów i docentów polskich uniwersytetów, które potem pojawiają się w dwóch seriach drukiem p. t. *Polski Śląsk* i *Zagadnienia gospodarcze Śląska*. Osobno ogłasza Instytut cykl *Śląsk, Ziemia i Ludzie*, obdarzając nauczycielstwo i starszą młodzież przystępnie ujętymi monografiami. Seria *Biblioteka Pisarzów Śląskich* ma znów przypomnieć dzieła poetyckie i polityczne zapomnianych pisarzy: Bonczyka, Rozdzieńskiego, Miarki, Gdaciusa i innych. Nakoniec *Pamiętnik Instytutu Śląskiego* informuje o podejmowanych badaniach naukowych i organizowaniu studiów. Pierwszy jego tom pt. *Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku* przedstawił szczegółowo co dotychczas zrobiono (jakże niestety mało!) i co jeszcze trzeba zrobić dla Śląska w poszczególnych dziedzinach nauki.

Od listopada ubiegłego roku zdecydował się dr. Roman Lutman, dyrektor Instytutu, na wydawanie jeszcze jednego periodyku. Opowiem o nim szczegółowiej, bo w tym wydawnictwie przypadła mi w udziale rola redaktora. Tak się bowiem złożyło, że poprzednio, w Poznaniu, zredagowałem podobnego miesięcznika 26 numerów, miałem więc sporo doświadczenia.

Periodyk nazywa się *Żywy Dziennik Instytutu Śląskiego* i wychodzi od sześciu miesięcy w pierwszą środę w reprezentacyjnej sali Województwa. Zasługuje zaś na uwagę z wielu względów.

Jest to miesięcznik bezpłatny. Prenumeratorzy otrzymują zaproszenia. Honorariów współpracownikom się nie płaci. Mimo to stale zwiększa się ilość „redaktorów", których w pierwszych 6 numerach doliczono się przeszło 30, rośnie też liczba odbiorców, na poszczególnych numerach bywało ich zgórą 500, ostatnio nawet 700.

Na pół godziny przed rozpoczęciem wieczoru sala jest już nabita słuchaczami, którzy decydują się nawet stać w tłoku przez kilka godzin, byle nic nie stracić z *Żywego Dziennika*.

Tę zdumiewającą popularność wydawnictwa tłumaczymy sobie głodem żywego słowa na Śląsku i potrzebami kulturalnymi środowiska, które nagle rozbudzone chciwe jest nowości, a przedewszystkiem czyha na aktualny dowcip i satyrę, często i gęsto podawaną na wieczorach *Żywego Dziennika*.

Wzięcie zjednano sobie, niema co ukrywać, głównie akcentami satyrycznymi. Śląsk satyry dotychczas nie miał w tej formie i sile i dlatego zareagował tak wdzięcznie. Wielką atrakcją w każdym numerze *Żywego Dziennika* są występy uznanych już satyryków dr. Edwarda Kostki, Romualda Pitery, Jana Kozubskiego i Janusza Woźniakowskiego, którym przygodnie przychodzą z sukursem dr. Stanisław Kipta, red. Surówka i Jan Kwaśniewicz. Zwalcza się ostro i dowcipnie przejawy separatyzmu, zacofania, biurokratyzmu i megalomanii. Śląsk przekonał się, że można mówić śmiało o rzeczach, które długo wydawały się nietykalne. Nabrał też zaufania do redakcji. Dowodem najwymowniejszym tej ufności są liczne listy w najrozmaitszych sprawach, niczem do instancji odwoławczej.

Trzeba było jednak bacznie czuwać, aby zamiłowanie do satyry nie odsunęło na plan dalszy planów redakcji, niemniej ważnych, choć może chwilowo mniej popularnych.

Ambicją *Żywego Dziennika* było np. skupienie możliwie wszystkich literatów Śląska. Kolejno wystąpili dotychczas na łamach wydawnictwa: Adam Bunsch, Adam Dytkiewicz, Alfred Jesionowski, Gustaw Morcinek, Helena Moskwianka, Julian Przyboś, Janina Zabierzewska, Włodzimierz Żelechowski, z „najmłodszych" Jan Baranowicz i Paweł Musioł.

Poruszono wiele żywotnych spraw poezji i sztuki, osobno np. omówił dr. Tadeusz Dobrowolski przyczyny nieporozumień między widzem a artystą, dr. Tadeusz Michejda skutki pomijania architektów w rozbudowie Śląska, a dyr. Marian Sobański specjalne zadania śląskiego teatru dramatycznego.

Wiele miejsca i uwagi poświęcono zagadnieniom społecznym: Halina Krahelska mówiła ze swadą na temat sekretu odwagi cywilnej i roli inteligencji w ruchach społecznych; duże zaciekawienie wywołał dwugłos publicysty red. Edwarda Rumuna i wychowawcy dr. Władysława Dzięgla o współpracy domu ze szkołą, sędzia Gajkiewicz przedstawił niedolę człowieka w sieci paragrafów, dr. Zieleniewski zastanawiał się nad istotą kryzysu ekonomicznego, dr. Aleksander Szczepański zwracał uwagę na warunki uzdrowienia naszego życia gospodarczego, a dr. Wacław Olszewicz, dyr. Paweł Rybicki i Janusz Ignaszewski poruszali zagadnienia z pogranicza socjologii i filozofii.

Główną jednak troską redakcji było, aby w każdym numerze znalazł się przynajmniej jeden programowy artykuł, dotyczący Śląska. Kurator Tadeusz Kupczyński otwierając, imieniem Zarządu Instytutu, wydawnictwo *Żywych Dzienników* za główny cel pisma uznał słusznie oświetlanie rzeczywistości życia śląskiego i jego pragnień zrastania się z państwem. Poświęcono więc wiele uwagi pojęciu Ślązaka w artykułach dr. Romana Lutmana „Czy żyjemy na Śląsku?", wiz. Ludwika Musioła „O pochodzeniu nazwy Śląsk" i nacz. Edwarda Rybarza „O narodowości Ślązaków".

I cóż się okazało: rozumowanie, jakoby polska świadomość narodowa Ślązaków była nabyta z zewnątrz jest rozumowaniem niemieckim, bo ożywiony ruch polityki demokratycznej wydobył tylko z ludu śląskiego pierwiastki narodowe na powierzchnię, a ciągłe walki polityczne i społeczne pogłębiły polskość.

Ten proces ujął już dawno wierszyk, przypisywany Damrotowi:

„Zowią ci nas, zowią Wasserpolakami,
Ale, chwała Bogu, tak źle nie jest z nami.
„Wasser" odpłynęło przez niemieckie sita,
A „Polak" pozostał, nie da się i kwita".

Nawet nazwa, bezwzględnie polska, opierająca się o pierwiastek „śleng", tkwiący w dzisiejszych wyrazach gwarowych ślęganina, śląkwa, prześlągły, wskazująca na charakter hydrograficzny nad rzeką Ślęzą, od której to nazwy Śląsko, Śląsk, nie pozwala na wykrętną etymologię niemiecką.

Rzeczy to na pozór dobrze znane, ale trzeba o nich widocznie często i głośno mówić, jeśli nawet prezes śląskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ks. prałat Szramek, zastanawiając się na posiedzeniu Towarzystwa nad pojęciem Ślązaka podał taką definicję: Ślązakiem jest człowiek związany ze Śląskiem nie tylko węzłami materialnymi, ale i duchowymi, więzami woli i uczucia, — ale do cech istotnych Ślązaka nie zaliczył przynależności narodowej. W odpowiedzi ks. Szramkowi przypomniał na *Żywym Dzienniku* dr. Lutman, że my, w Katowicach, nie znajdujemy się właściwie na pierwotnym, odwiecznym terenie Śląska, bo granica historyczna Śląska biegnie daleko na zachód od dzisiejszej wschodniej granicy Śląska Górnego. Dawna ta granica pozostawiała poza Śląskiem całą ziemię pszczyńską i bytomską. I Pszczyna i Katowice i Chorzów i Radzionków aż po Woźnicki w lublinieckim — to nie historyczny Śląsk, to stara, dawna Ziemia Krakowska, a ci tak zwani „Ślązacy" to potomkowie Wiślan, czyli Krakowiaków. Nie po śląsku mówią też mieszkańcy pszczyńskiego, katowickiego, czy części tarnogórskiego, ale po krakowsku, małopolsku. Jeszcze w 1821 roku te wschodnie części dzisiejszego województwa należały do diecezji krakowskiej. Jedynie Rybniczanie i częściowo Lubliniaczanie mogą się słusznie zaliczać do Ślązaków.

Przybysza z innych ziem nazywano w XVI wieku na Śląsku „wląza". Dziś przybysz, jeśli jest z Krakowskiego, nazwany jest „gorol", a z Poznańskiego „pyrkarz". Otóż nie pozbawione jest komizmu, że okolica Imielina, która najpóźniej, bo dopiero w r. 1815 weszła w skład Śląska, była do niedawna najsilniejszą ostoją ruchu separatystycznego.

Żywy Dziennik silnie przeciwstawia się wszelkim próbom separatystycznego zamętu zarówno autentycznych Ślązaków, jak „wląz". Pragnie łączyć nie tylko wszystkich mieszkańców Śląska, z najodleglejszych środowisk, którzy dzięki doskonałym środkom

---

ło na nią strachem. Spostrzegła bowiem nagle, że drzwi dwieście siedemnastego nie były zamknięte szczelnie: siostra wychodząc, tylko je przymknęła.

Poprzez niemilknące wycie, słychać było obecnie skrzypienie zawiasów, szparka w drzwiach robiła się coraz szersza, drzwi powoli się roztwierały.

„Nie chcę ani słuchać, ani patrzeć!" posłyszała mecenasowa gdzieś obok, a potem — człapanie pantofli. Nie wiedziała, że pozostała na korytarzu sama, chorzy rozpierzchli się. Przed oczami miała tylko zwolna rosnącą szparkę, która wkrótce zaczęła powiększać się szybciej, aż drzwi rozwarły się na wpół, a potem całkiem. Jednocześnie z piersi mecenasowej wydarło się głuche westchnienie.

Zobaczyła biel pokoju numer dwieście siedemnaście i oślepiający czworokąt zaśnieżonego okna, zaś koło drzwi — znowu białe poręcze, a między poręczami ciemną okrągłą plamę. Była to twarz jakiegoś chorego.

Leżał na brzuchu, głową do progu, koc nad pośladkami fałdował się cudacznie, chory pod piersią miał zgniecione poduszki. Z początku mecenasowej wydało się, że leży całkiem spokojnie, wsparty na łokciach, rękami podtrzymując twarz. Lecz w chwili następnej przekonała się, że tak nie jest, że znajduje się w obliczu najdziwniejszej, jaką można sobie wyobrazić, rzeczy. Wówczas zachwiała się i chciała uciekać, ale nogi niczem w koszmarnym śnie odmówiły i tym razem posłuszeństwa. Westchnęła głęboko, szybko, kilka razy z rzędu. Jednocześnie uczuła łaskotanie i dwuznaczny bezwład w kolanach. Skazana była na to, żeby stać i patrzeć. To było nie do wiary: chory jadł własną rękę.

Jadł własną rękę, takie przynajmniej wrażenie odniosła mecenasowa. Wpychał sobie do gardła prawie całą garść, coś miętosił w ustach, rozchylał zęby i zaciskał z powrotem. Wówczas zpod zębów ciekł strumyk krwi i rozlegało się wycie. „Co się dzieje?" pomyślała omdlewająco i przesunęła się spojrzeniem w górę. Wtedy kolejno zobaczyła: obnażone dziąsło, zsiniałą górną wargę, zmarszczony nos, zalane łzami kości policzka i wkońcu — rozwarte, dzikie oczy. W oczach tliła się nienawiść i podła — odniosła takie wrażenie — podła pogarda do niej. Instynktownie żachnęła się: „Jakim prawem!" Była przekonana, że na twarzy jej zjawił się wyraz obrzydzenia, oburzenia, strachu, lecz w rzeczywistości zjawiło się coś całkiem innego: wargi jej rozchyliły się mimowoli, drastycznie i niespokojnie...

Gdy na piętrze, z klatki schodowej wyłonił się asystent Chwaściński — siostra i sanitariusz przebiegli już i zniknęli pod dwieście siedemnastym — gdy młody asystent zobaczył mecenasową, podniósł brwi i zatrzymał się zdziwiony, zdyszany.

— Nie wiedziałem — rzekł — że państwo się znają — i kciukiem wskazał za siebie.

Mecenasowa uczuła z ulgą, że nogi tężeją z powrotem. Więc poruszyła kolanem, spojrzała na kciuk — ale za kciukiem ciemniał tylko numer dwieście siedemnaście — więc zapytała:

— Znamy się? z kim?

Teraz Chwaściński zdziwił się po dwakroć.

— Z dwieście siedemnastym — odpowiedział. — Uśmiechała się pani do niego, jak do znajomego.

— Ja? — zawołała mecenasowa. — Ja? Potem palcami zasłoniła oczy:

— To był taki straszny widok! — szepnęła. — Co mu się stało, panie doktorze?

Wycie zamilkło, słychać było przez drzwi bębnienie głosów, przez ciało mecenasowej przeszedł po raz ostatni mdły dreszczyk.

—Och, to taka głupia historia — odszepnął asystent Chwaściński. Konfidencjonalnie pochylił się do ucha. — Widzi pani, dotąd udawało się nam ukrywać przed nim, że jest chory na raka. Ale dziś, nie wiem kto, powiedział mu prawdę. Cóż dziwnego, że chłopak się zdenerwował.

Wykrzyknęła:

— I więc dlatego?...

— Gryzie sobie ręce — odrzekł Chwaściński.

Ukłonił się i ze słowami: „Pani mi daruje, muszę pójść i trochę mu wyklarować", skierował się ku drzwiom. Metalowe słuchawki dwuuszne dyndały mu się na fartuchu. Wiklińska nagle zaczerwieniła się, zrobiło się jej gorąco — „Jak po dożylnym zastrzyku wapna!" pomyślałby złośliwie Chwaściński, gdyby wiedział o co szło — mecenasowa szukając równowagi, przypomniała sobie o mężu. Zapytała więc słabo:

— Panie doktorze, czy znajdzie pan chwilkę dla nas? Mąż chciał pana widzieć, bo znowu niepokoi go gorączka.

Nie dosłyszała odpowiedzi, automatycznie kiwnęła głową i, ciesząc się, że wreszcie powraca do czegoś normalnego, znanego, prawnego — szybko poszła korytarzem.

Gdy weszła do separatki, mąż uniósł głowę z nad granatowego jaśka, zmarszczył się: — Gdzie byłaś tak długo? — Potem wyjął z pod pachy termometr: — Znowu trzydzieści siedem i dwa. Mierzyłem po raz drugi.

Mecenasowa zapytała z wysiłkiem: — Czy nie za krótko trzymałeś?

— Nie. Przeszło piętnaście minut — odpowiedział. Poczem spojrzał na żonę uważniej. Coś takiego było w jej twarzy, że uczuł powiew dawno wygasłej zazdrości. Pociągnął nawet nosem, jak gdyby węszył w pokoju męski zapach. Taki sam wyraz twarzy miała parę lat temu, gdy spotkała pewnego inżyniera. Ale teraz, w szpitalu? Coby to mogło być? „Czyżby Chwaściński?" pomyślał i zapytał:

— Czy nie widziałaś doktora?

Ocknęła się z zamyślenia, lecz nie odpowiedziała. Natomiast wzrok jej powoli nabierał życia: stawał się szarawy, trochę zamglony, bardzo małżeński. Mąż uspokoił się natychmiast. O ile przedtem wydawało mu się, że nagle stracił dach miłosny nad głową, uczuł obecnie, że zajął w duszy żony poprzednie wygrzane miejsce. Wyciągnął nogi, aż trzasnęły stawy i pomyślał: „Nie, to było co innego".

W istocie, żona poprostu pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta.

— Poczekaj — szepnęła po chwili — zamknę tylko drzwi i zasunę firankę.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

komunikacyjnym zjeżdżają w charakterze współpracowników i słuchaczy prawie ze wszystkich miast i miasteczek, ale zaprasza do redakcji i „goroli" z Krakowa (dotychczas byli Kazimierz Czachowski i Stanisław Witold Balicki), a nawet szczyci się pobytem na numerze *Żywego Dziennika* przedstawiciela Akademii Literatury red. W. Rzymowskiego z Warszawy.

Red. Rzymowski mile był zdziwiony zarówno nadspodziewaną frekwencją prenumeratorów *Żywego Dziennika*, jak i wysokim poziomem felietonów. Zwrócił np. uwagę na artykuł red. Edwarda Kostki p. t. Pogadanka o kulturze klasycznej, który był nie tylko popisem erudycji, ale skrzył się przednim dowcipem i wybornymi aluzjami politycznymi, o silnej aktualności.

Żywy Dziennik odkrył ten talent publicystyczny (nie ten zresztą jeden) i wciągnął do redakcji. Z przykładnego, wysokiego urzędnika województwa, stał się nagle dr. Kostka ciętym i ciekawym publicystą, siejącym postrach ostrością zjadliwego pióra.

Pierwszy rocznik *Żywego Dziennika* zrobił podobno swoje. Rozruszał teren, nauczył słuchać i śmiać się, niezależnie myśleć i śmiało przemawiać. Jako nowicjusz nie uniknął oczywiście licznych usterek i błędów, z których na szczęście zarówno wydawca, jak redaktor, zdają sobie sprawę. Przerwa w wydawaniu *Żywego Dziennika* przewidziana od kwietnia do października pozwoli rozważyć spokojnie i dokładnie, jak należałoby wydawnictwo ulepszyć w drugim roczniku.

Żywy Dziennik Instytutu Śląskiego chce być przecież głosem Śląska, a na tę wysoką godność trzeba sobie w pełni zasłużyć.

STEFAN PAPÉE

HISTORIA LITERATURY

JULIUSZ NOWAK: *Satyra polityczna Konfederacji targowickiej i sejmu grodzieńskiego.* Kraków 1935. Prace historyczno-literackie — Nr. 47.

Literatura dawnej Polski nie zechciała kształtować życia na wzór i podobieństwo nieznanego ideału moralnego. Raczej odbijała rzeczywistość w zwierciadle wiernym lub krzywym. (Wątek moralizatorski i dydaktyczny, który określił granice znacznych obszarów piśmiennictwa staropolskiego, zdrobniał całkowicie na kartach dzieł kaznodziejskich i wszelkich innych pism prozą i wierszem do wymiarów etyki praktycznej. Potoczna postać moralizmu staropolskiego, zaniechawszy rozległości i skali programów moralnych Frycza i Skargi, wybrała tematy codzienne i ujęcia praktyczne na zbudowanie parafii lub powiatu. Literatura piękna, wierna towarzyszka życia polskiego, gdy podnosiła je na wyższy stopień cnoty i mądrości, dawała przykłady szkolne, starożytne i chrześcijańskie, do których śpieszył się powoli brat szlachcic rozmaitego herbu — w przerwie od konfederacji do rokoszu.

Stosunek czynny do spraw, narzucanych współcześnie, zachowała przez wszystkie wieki starej Polski literatura polityczna. Wykształciła też z czasem formy własne wypowiedzi, które poprzedziły rozwój publicystyki w czasopiśmiennictwie nowożytnym. Traktat polityczny, dyskutujący materie aktualne, utrzymywały ręce statystów i erudytów, nie zawsze nalegające o pośpiech druku. Ale tempo życia wymagało sposobów oddziaływania natychmiastowych i doraźnych: obok traktatu zanalazła się mowa, powierzana drukarni rychło po wygłoszeniu, satyra polityczna, sprawne narzędzie walki z opinią przeciwną, niejednokrotnie bliska paszkwilowi. Na tym właśnie odcinku piśmienniczym widać jasno kontakty nieustanne literatury z życiem, które narzuca piszącym zagadnienia i tematy, formy i metody pracy literackiej. Tu wreszcie spostrzegamy zamiar świadomy oddziaływania literatury na rzeczywistość współczesną, osiągany na drogach rozmaitych i przynoszący rezultaty o różnej trwałości.

Wątek polityczny omijał satyrę wcale długo. Piśmiennictwo polskie poznało wcześnie satyrę obyczajową, którą wykształcił nad miarę poprzedników biskup warmiński. Szlachta w. XVII nie czytała rada tych napomnień cenzorskich, widząc np. w satyrze Opalińskiego jawną wyniosłość rodu magnackiego. Satyra literacka o początkach (dla Polski) renesansowych rychło obumarła i skarlała do poziomu fraszki „na Zoila", aż odnowił ją późny przykład Boileau. Polityka zastrzegała zrazu dla siebie inne rodzaje poetyckie; celując w traktacie wierszem, w pieśni, poszukując formy sielanki pasterskiej. Dopiero wiek XVIII, podjąwszy próby poprzednie, wypełnił gatunek satyryczny aktualną treścią polityczną.

Znamy dzisiaj ten przebieg literacki dosyć szczegółowo. Żwawy ruch polityczny, który latami Stanisława Augusta rozlegał się nieustannym zgiełkiem wszelakiej reformy, społecznej, ustrojowej i państwowej, objął gwałtownym rozmachem także literaturę piękną. Słowo literackie szło wówczas tropami wydarzeń. Literatura, oddana na usługi spraw politycznych, dawała komentarz pośpieszny życiu płynącemu, uprzedzała lub prostowała wypadki, szła im naprzeciw i naprzekór — w wierszu, który rozlegał się w teatrze, w ciętej satyrze, która wędrowała krajem, w ulotce i piosence ulicznej. Utwór literacki, narzędzie zemsty i propagandy rozpowszechniał się poza drukiem, zapisywany przez wiele rąk, zniekształcany mnóstwem odpisów i redakcyj pochodnych, powstający niejednokrotnie nie przy sekretarzyku „Chudego literata", ale zbiorowym natchnieniem poetyckim grupy, ulicy, cechu. Społeczna funkcja literatury, powiązanej z życiem przez sprawy i osoby, wielością związków różnorodnych, nadaje czasom sejmu czteroletniego i konfederacji targowickiej cechę wyjątkową, interesującą zarówno historyka jak socjologa.

Ten oto klimat epoki, uratowany dla dziejopisa przez tłum pamiętnikarzy, utrwaliła pośród innych tekstów literackich satyra polityczna. Uczyniła to w zespole, gromadą wierszopisów-karmazynów i pacholików, nie zaś miarą talentów jednostkowych. Formalnie bliska estetyce sarmackiej, powtarzająca w najlepsze ulubione rymy poetów staropolskich, nie przyniesie napewno rewelacji artystycznej. Wskazać nietrudno analogie literackie dla jej kształtów zewnętrznych: trawestacji lub parodii tekstów biblijnych i liturgicznych, paszkwilu, bajki, epigramu. Współdziałanie słowa i rysunku, powiadczone zgodą całkowitą poezji i karykatury, sięga zatargu Zygmunta Augusta o Barbarę. Jedynie afisz teatralny, zaaplikowany trafnie do celów parodystycznych, wydaje się pomysłem nowym. To też nie studia nad estetyką rodzaju satyrycznego zachęcą dziś historyka do badania satyry stanisławowskiej. Niewątpliwie ciekawsza tu treść od formy. Kąśliwa wycieczka osobista, brawurowo prowadzona walka personalna, odsłaniająca niedyskrecje alkowy i kiesy, — to pierwsze, łatwo uchwytne wątki satyryczne. Cokolwiek głębiej znajdują się konflikty istotniejsze. W zaczepce o jurgielt czy stosunek romansowy upatrzeć nietrudno zarys ideologii społecznej i politycznej, która zmierzyła się z ideologią obozu wrogiego. W paszkwilu targowickim, wśród gorącej zwady Niemcewicza i Kossakowskiego próbują sił nierównych ustępujący konserwatyzm Kossakowskiego i młody liberalizm Niemcewicza. Tym oto szlakiem wrzaskliwej piosenki satyrycznej, którą nieraz zabarwia poczucie klasowe, przenika na ziemie polskie wpływ ideowy rewolucji francuskiej, wyraźnie pochwytny w tekstach literackich, kształcący nad Wisłą „jakobinów".

Badanie materiału satyrycznego za Stanisława Augusta przedsięwziął Juliusz Nowak, który po rozprawie o satyrze politycznej sejmu czteroletniego (1933), ogłosił książkę drugą, rozważającą satyrę lat następnych, z epoki konfederacji targowickiej i sejmu grodzieńskiego. Postawa metodyczna, która nie sprecyzowała poprzednio elementów analizy (historycznych, formalnych), wyróżniła dziś jaśniej kierunek pracy. Książka grupuje materiał wedle zasady historycznej, dokoła osób lub wydarzeń, sprawdza na źródłach dostępnych wierzytelność literatury i dobywa z tekstów poetyckich ich znaczenie aktualne, polityczne i społeczne. Tak zatem satyra Targowicy, prezentująca kolejno króla, Potockiego, Kossakowskiego, Rzewuskiego, Branickiego i „drobniejsze szelmy", przedstawia w ujęciu autora materiał historyczno-kulturalny, niby glossy poetyckie na marginesie dziejów współczesnych. Analiza literacka znalazła się w tekście pracy przygodnie i nawiasowo, naogół konsekwentnie zeszła do przypisów. Tego rodzaju stanowisko badawcze, uzasadnione panującym coraz powszechniej kierunkiem kulturalnym w studiach literackich zapewniło książce Nowaka jednolitość przedstawienia, jakiej nie miała rozprawa poprzednia. Materiał uzyskany z rękopisów pomnożył znacznie zasoby bibliografii Estreichera i pozwolił tu i ówdzie na dokładniejszą chronologizację tekstów. Wśród wyników naukowych książki wymienić należy rozdział IV, który analizuje wpływy rewolucji francuskiej na dojrzewającą ideologię polskich śpiewaków *Ça ira*.

TADEUSZ MIKULSKI

POWIEŚĆ

B. KLICZKA: *Dr. Nachtigall leczy psychoanalizą.* Autor. przekł. z czeskiego Janusza Dawana. Warszawa. Wydawnictwo Nowoczesne.

O przenikaniu do świadomości szerokiego ogółu metod, zagadnień i terminów psychoanalizy, najdobitniej świadczy współczesna powieść. Jeszcze przed kilkudziesięciu, a nawet kilkunastu laty stosowano do charakterystyki postaci takie określenia jak rozum, uczucie, wola, stwarzano „geniuszów rozumu" i „geniuszów serca", każda psychika, a raczej „dusza" wydawała się mało skomplikowana i łatwo rozkładano ją na poszczególne elementy.

W ciągu ostatnich lat dziesięciu zagadnieniem najbardziej pasjonującym stała się podświadomość, kompleksy, wyparcia i sublimacje.

Obojętne, czy autor stosuje nazwy naukowe, czy też opisuje jakieś zawiłe przeżycia, zrozumiałe dopiero przy poznaniu wczesnego dzieciństwa. Ciekawe zaś jest to, w jaki sposób wkomponowuje zagadnienia psychoanalityczne w artystyczną całość utworu.

Nawet pobieżna obserwacja dostrzega dwa rodzaje zastosowania psychoanalizy do powieści.

Pierwszy polega na zużytkowaniu pogłębionej wiedzy o człowieku do charakterystyki postaci. Dyskretna świadomość pisarska wyjaśnia zawiłe przeżycia, tłumaczy niezrozumiałe odruchy, pogłębia nurt życia wewnętrznego. W tem zastosowaniu psychoanaliza staje się istotnym czynnikiem artystycznym.

Gorzej jest gdy pisarz, bądź to ulegając modzie, bądź rzeczywistemu entuzjazmowi dla psychoanalizy, stwarza z niej jakiegoś *deus ex machina.* Oczywiście wtedy musi być lekarz, który nietylko rozwiązuje kompleksy, ale i dowolnie wikła lub rozplątuje akcję. Znamiennym przykładem sztuczności takiego postępowania jest powieść *Dr. Nachtigall leczy psychoanalizą.* Z tego też jedynie względu zasługuje na omówienie.

Celem autora jest zapewne „niezwykłe- nie" jakże banalnego tematu tradycyjnej erotyczno-brukowej literatury. Rozpróżniaczona kobieta „o oczach wspaniałszych od oczu kobiet Murilla", oczywiście niezrozumiana przez męża, czuje się bardzo nieszczęśliwa. No bo jakże — mąż zdradza ją z brzydkimi pokojówkami, a córka (też piękna: oczy agatowe i „węże czarnych warkoczy") żyje własnym życiem dojrzewającej dziewczyny.

Snobistyczne otoczenie zamożnego mieszczaństwa nie zabija w Isi ani rozpaczliwej nudy, ani co gorsza powtarzających się coraz częściej dolegliwości żołądka. Jedyna rada — udać się do sławnego lekarza, który leczy psychoanalizą. I od tego momentu zaczyna działać głośny psychoanalityk; poznawszy dzieciństwo pacjentki, orzeka, że jest ona nieszczęśliwa w małżeństwie i wobec tego powinna sobie znaleźć, choćby w marzeniu, tego „jedynego, który idzie za każdą kobietą".

Jakże wzrosło ograniczenie kobiet skoro nawet w tych wypadkach muszą szukać porady lekarza! Wszystkie ich prototypy powieściowe, z kobietą trzydziestoletnią Balzaca na czele, przez długie wieki dawały sobie same radę i wcale na tem gorzej nie wychodziły.

Ale autor stara się o sposobność do dalszego „pogłębiania" problemu — daje Isi kochanka, a co gorsza odsłania „rozkład" jej duszy, rozdwojenie osobowości, na co już nic nie może poradzić sam dr. Nachtigall.

Psychoanaliza — mówi lekarz — umie rozłożyć psychikę człowieka, rozwiązać kompleksy, ale nie zdoła stworzyć syntezy.

Te rozważania i polemika dr. Nachtigalla ze sławnym Forscherem z Pragi nasuwają przypuszczenie, że może celem autora było wykazanie bezpłodności doktryny Freuda, że powieść jest oskarżeniem choćby lekarzy-szarlatanów. Czy tak jest — trudno osądzić. Jeżeli nawet taki był zamiar autora, to jego realizacja wypadła bardzo żałośnie. Bo, po pierwsze — niejasne jest, czy Nachtigall jest szarlatanem, a po drugie, nawet gdyby nim był, to w żadnym razie jego postępowanie nie dyskredytowałoby samej nauki.

Tak więc zarówno postać dr. Nachtigalla, jak długie i nudne rozważania psychoanalityczne nie znajdują ani usprawiedliwienia artystycznego, ani nie są świadomie wyzyskane w celach tendencyjnych.

Pozatem „bardzo wzruszający" patosem przedstawienia jest sposób charakterystyki postaci. Oto doktór: „zakapturzony ponury przyjaciel — spowiednik ze świątyni odpuszczenia" (177) — a Isi „w wybladłej twarzy płonęły oczy niesamowitym blaskiem, wargi zaś drgały niby krwawa pręga. Poza nimi zgrzytały wściekle zęby, dopełniając obrazu wściekłego zwierza" (233).

Jest jeszcze gorzej skoro Isia bredzi: „Muszę zrzucić więzy, dać wodze swojej żądzy i sięgnąć po puhar rozkoszy. Otom jest jak pustynia wyschła i bez zieleni". Pustynia długo wyschłą nie była, bo oto „po drugiej stronie tej niezmierzonej przestrzeni, wśród zupełnej ciszy kroczył — on".

Coprawda często niewiadomo, czy też niema w tem dużej „zasługi" tłumacza, bo trudno uwierzyć, aby nie można było inaczej wyrazić takich np. zwrotów: „...ale Klara blada i rozwścieczona wymiotła ją spojrzeniem swych krwią nabiegłych oczu do jadalni", albo „...trzeba było przewentylować spętane instynkty".

EWA KORZENIEWSKA

BIOGRAFIE

MICHAŁ KRECZMAR: *Z życia wielkiego Olimpijczyka.* Warszawa 1936. Nasza Księgarnia. Str. 45.

Autorem książeczki jest dobrze znany na terenie warszawskim pedagog i historyk. P. Kreczmar ma za sobą kilka prac z zakresu historii Grecji, m. in. większe studium o demokracji ateńskiej. Zgodnie ze swymi zamiłowaniami poświęcił on obecnie swą książeczkę bohaterowi tej demokracji — boskiemu — Olimpijskiemu Peryklesowi. Otrzymujemy w niej bardzo przystępnie, ale zajmująco skreślony obraz osobistości oraz działalności politycznej i kulturalnej tego wielkiego męża stanu Grecji starożytnej. Książeczka p. Kreczmara przeznaczona jest — jak się zdaje — w pierwszym rzędzie dla młodzieży szkolnej. To też z radością należy powitać tę próbę zbliżenia postaci wielkiego Ateńczyka do naszej odhellenizowanej szkoły. Szkoda tylko, że wartość szkicu umniejszają dość liczne błędy formalne i faktyczne (zwłaszcza nieszczególnie przedstawia się rozdział p. t. *Olimpijczyk i muzy* — str. 22 i nast.). Mam wrażenie, że obowiązek ścisłości naukowej jest szczególnie obowiązujący dla literatury naukowo-popularyzacyjnej, gdyż jej czytelnicy rzadko tylko są w stanie kontrolować wiarogodność danych, a najczęściej muszą *iurare in verba magistri.*

W. G.

*

JANUSZ STASZEWSKI: *Generał Edmund Taczanowski,* Poznań 1936.

Dwudziesty pierwszy tomik życiorysów zasłużonych Polaków wieku XVIII i XIX (str. 240 + 8 nlb + 5 tabl.) przynosi pracę o generale Edmundzie Taczanowskim młodego badacza, dr. Janusza Staszewskiego. Wystarczy spojrzeć na ostatnią stronę tej publikacji, aby się upewnić, że autor ma za sobą obfity dorobek naukowy. Spis ważniejszych jego prac wykazuje 21 pozycyj bibliograficznych. Już tytuły tych prac mówią o zdecydowanym kierunku dr. Staszewskiego. Jest nim historia wojskowości. Młody uczony jest uczniem biograficznej szkoły prof. Skałkowskiego. Nie jest więc może rzeczą przypadku czy czysto indywidualnego nastawienia autora, że na jego warsztacie badawczym znalazły się życiorysy pięciu generałów. Podkreślam: życiorysy. W życiorysie czyli biografii historyk stawia sobie zawsze za zadanie przedstawienie możliwie pełnego obrazu człowieka, dąży do wytłumaczenia wszelkich postaw życiowych swego bohatera. Nie może zaniedbać korzystania z wszelkich dostępnych środków metodycznych. Inne nauki humanistyczne oddają tutaj niejednokrotnie cenne usługi. Historyk nie może dążyć jedynie do uwypuklenia jednej płaszczyzny działań bohatera. Niewątpliwie w życiu wojskowego najważniejszymi są jego czyny militarne, lecz to bynajmniej nie zwalnia biografa od obowiązku wykrywania czynników działalności obywatelskiej, politycznej czy ziemiańskiej. Tymczasem autor życiorysu Taczanowskiego wykazał w swej pracy wyraźny brak zrozumienia dla obywatela, polityka. Interesował go wojskowy. Tam, gdzie chodzi o działalność polityczną bohatera autor ogranicza się do referowania aktów urzędowych władz pruskich, zrzeka się dobrowolnie klasycznego sposobu przedstawienia bohatera w chwili działania. Stąd nie zadawala nas ogólnikowe twierdzenie autora, że Taczanowski odznaczał się w poglądach radykalnym demokratyzmem. Wcale tego nie widzimy, autor nam tego nie pokazał. Zaś takie określenie spisku z r. 1846: „Garść zapaleńców marząca o wyzwoleniu Ojczyzny... opierała swe dążenia na poparciu, radykalnego odłamu emigracji polskiej..." jest ogólnikiem, graniczącym z nieścisłością. Spisek roku 1846 nie był dziełem ani garści osób, ani twórcy jego nie byli zapaleńcami. Zwrot „garść zapaleńców" należy zresztą, jak się zdaje, do ulubionych chwytów stylistycznych autora — spotykamy go w pracy o generale Józefie Biernackim [1]. — Trudno wymagać od auto-

[1] Janusz Staszewski: *Generał Józef Biernacki. Roczniki historyczne,* XI, zeszyt 2, str. 193.

ra, aby przedstawiał szeroko dzieje spisku r. 1846, skoro bohater jego odgrywał w nim rolę stosunkowo uboczną, lecz można wymagać precyzji i prawdy w formułowaniu sądów o takich bądź co bądź ważnych i dziś już przez literaturę rozpatrzonych faktach. Dość pobieżnie traktuje też autor zagadnienie uzdolnienia i wykształcenia Taczanowskiego. Na str. 4 czytamy np. że w r. 1839 Taczanowski opuszcza „mury szkolne" gimnazjum im. Marii Magdaleny w Poznaniu — nie raczył nas autor jednak poinformować, na której to klasie kończy przyszły generał swoją edukację ogólną? Czego nauczył się w szkole artylerii i inżynierii w Berlinie? Przecież w tych latach formował się przyszły człowiek, przyszły żołnierz i dowódca. Tak samo pełen luk i niedomówień jest rozdział V p. n. „Na rozdrożu". Skoro komitet poznański r. 1863 nie wierzył w organizatorskie zdolności Taczanowskiego — musiał mieć jakieś podstawy do tego — jeżeli je zaś miał, to jakież one były?

Przechodząc jednak do następnych rozdziałów opisujących boje Edmunda Taczanowskiego w powstaniu styczniowym, stwierdzamy duże znawstwo, umiłowanie i sumienność traktowanego przedmiotu. Poruszenia partii dowodzonej przez Taczanowskiego, potyczki stoczone pod Pyzdrami, Ignacewem i inne są przedstawione starannie i z temperamentem pisarskim. Czytelnik zyskuje pełny, wszechstronny obraz — zapoznaje się z terenem, materiałem bojowym polskim i rosyjskim oraz śledzi krok za krokiem rozwój bitwy. Taczanowski oczywiście nie miał żadnych danych do odegrania roli, którą mu los narzucił. Jak autor objektywnie stwierdza, był to raczej typ oficera liniowego, który mógł działać sprawnie w regularnych szeregach — na dowódcę „insurgentów" się nic nadawał. „Oschły, arbitralny nie chwytał za serca podkomendnych. Nie miał w sobie żadnej siły zdolnej spoić gromady surowego, zupełnie nieobyłego z komendą, ani nie obeznanego z życiem wojskowym powstańca. Pozatem szedł do powstania bez wiary, bez entuzjazmu, pociągnięty jedynie fatalną siłą, jaką było przekonanie o potrzebie składania ofiar na ołtarzu ojczyzny. Taczanowski jest trochę uosobieniem schyłkowym, stąd w młodości „czasem skronie (jego) tak myślami obarczone jak liście kroplami rosy, że czasem dusza takim gorącem bucha, jak gdyby ogień piekielny obrał ją za siedlisko".

Praca o Taczanowskim jest przede wszystkim cennym przyczynkiem do dziejów oręża w powstaniu styczniowym i jako taka stanowi niepoślednią pozycję w dorobku naukowym autora. Wartość pracy podnoszą obfite anneksy.

HELENA ŁUCZAK-KOZERSKA

*

JAN HAYTLER: *Fryderyk hr. Skarbek, jako penitencjarysta.* Warszawa 1935. Bibljoteka Penitencjarystów Polskich.

Mało komu zapewne wiadomo, iż Fryderyk hr. Skarbek, znakomity ekonomista polski, w okresie Królestwa Kongresowego został powołany przez ministra Mostowskiego do Komisji Sprawiedliwości ze zleceniem mu inspekcji więzień. Na stanowisku tym Skarbek utrzymał się i po upadku powstania listopadowego. Tą nieznaną stroną działalności wybitnego ekonomisty zajął się w swej pracy dr. Haytler, szczegółowo rozważając poglądy Skarbka na więziennictwo i na sprawy penitencjarne, wyrażone w szeregu raportów i prac specjalnych. Nie wchodząc w rozważanie tych poglądów, należy stwierdzić, że przodowały one swym humanitaryzmem ówczesnej epoce i stanowią chlubną kartę w działalności publicznej Skarbka.

Z pracy dr. Haytlera dowiadujemy się również, iż wiele gmachów więziennych, istniejących do obecnej chwili i odpowiadających jeszcze i teraz dzisiejszym potrzebom, zostało zbudowanych przez Skarbka, w tej liczbie obecne warszawskie więzienie śledcze, t. zw. „Pawiak".

Skarbek głosił nieugięcie zasadę, iż celem kary więziennej winna być poprawa więźnia — i do tego celu naginał regulaminy więzienne.

Pracę dr. Haytlera przeczytać mogą z zainteresowaniem nietylko specjaliści. Dla badaczy, interesujących się wielostronną działalnością Skarbka, ważne znaczenie mieć będzie szczegółowa bibliografia jego prac we wszystkich dziedzinach oraz bibliografia literatury o Skarbku.

J. D.

*

EMIL LUDWIG: *Bismarck.* Przełożył z upoważnienia autora Leo Belmont. Warszawa — Poznań — Kraków — Lwów. Instytut Wydawniczy „Renaissance".

Czasy wielkich dyktatorów aktualizują postać Bismarcka. Podobnie jak oni wciela on potężnie pierwiastek autorytetu w budowie i życiu historycznym państwa. Podobnie jak oni działalność swą rozwija na rubieży epok. Ale w odróżnieniu od nich, łamiących liberalizm w chwili gdy się już przeżywa, Bismarck wyrasta na jego wzbierającej fali, mocą swej indywidualności kiełznając jednak jej rozpęd i zwracając go w swoiste, odmienne niż na zachodzie łożysko.

Przychodzi na świat w dobie „studniowej" restauracji napoleońskiej, podjętej po powrocie z Elby w r. 1815. Dojrzewa i pierwszą ściśle prywatną połową swego życia wrasta w okres rozkładającego się już, biurokratyczno-policyjnego, absolutyzmu. Jego ciężkie okowy szarpie, usiłując zerwać, rewolucja wolnościowa, na której czele kroczy demokratyczne mieszczaństwo. Junkier pruski z krwi i kości, szlachcic głęboko przywiązany do uprzywilejowanej pozycji społecznej swego stanu, oraz do monarszego tronu, Bismarck długo nie może sobie w otaczającym go świecie znaleźć właściwego miejsca. Nienawidzi demokracji, ale nie nadaje się również do służby monarsze w charakterze urzędnika lub wojskowego, do czego zdaje się go przeznaczać urodzenie. Nietylko urodzenie, ale zapewne atawizm obdarzył tego człowieka wzrostem i siłą fizyczną, oraz żywiołową, bujną, bojową, śmiałą, przebiegłą, ale niesforną naturą duchową średniowiecznego rycerza, zdobywcy marchij wschodnich dla niemczyzny. Nie znosi spokojnej pracy na utartych szlakach, nie znosi nieregularnego trybu życia, nie znosi zwłaszcza żadnej władzy nad sobą. Nie może więc nagiąć się do karier, które przed nim otwiera schyłkowa postać absolutnej monarchii w biurach państwowych lub korpusie oficerskim.

Czci swego króla i służy mu, ale nie według pojęć oświeconego absolutyzmu, jako poddany suwerenowi, lecz raczej jako wierny wasal — suzerenowi; w stosunku zatem jaknajbardziej osobistym, bezpośrednim i przede wszystkim moralnym.

Wszakże, jako młodzieniec, Bismarck naprzód wyłamuje się z utartych kolei, na które go rodzina wprowadzić pragnie, szaleje, awanturuje się, potem osiada na rodowym majątku, gdzie jest względnie niezależny. Ale i przeciw tej doli z czasem się buntuje, klnąc hreczkosiejstwo za ciasnotę widnokręgu życiowego. I nie wiadomo, coby się było w końcu stało, gdyby nie... brzask wolności. Król zwołał sejmy prowincjonalne na sesję ogólnopaństwową do Berlina, celem ułożenia konstytucji. Bismarck gwałtownie stara się o krzesło poselskie i otrzymuje je. Odtąd nareszcie znalazł się w swoim żywiole, może samoistnie i bezpośrednio wszcząć walkę naprzód z demokracją w obronie zasad monarchiczno-stanowych. Śmiałą bezwzględnością swych wystąpień zwraca uwagę dworu i wchodzi z nim w bezpośrednią styczność, pozostawiając na uboczu wszystkie szczeble biurokratycznej hierarchii.

W późniejszej swej karierze historycznej Bismarck walczy już nietylko z demokracją mieszczańską jako swym wrogiem stanowym, lecz poniekąd z całym otaczającym go środowiskiem, walczy o to, by kształtować życie Prus i Niemiec według swej woli i praw swego ducha. W tej walce genialnie umie posłużyć się obcymi mu a potężnymi prądami współczesnej psychiki zbiorowej: socjalizmem i nacjonalizmem. Ogranicza polityczne znaczenie liberalnego mieszczaństwa, a zarazem stępia rewolucyjne ostrze socjalizmu przez rozległy system państwowych ubezpieczeń społecznych. Nacjonalizm zaś wyładowuje w wojnie z Francją, używając go jako cement zjednoczenia Niemiec. Samo wszakże zjednoczenie nie było głównym celem dążeń Bismarcka, jak było nim, poza sprawą ustrojową, dla liberałów i demokratów. Dla Bismarcka zjednoczenie było raczej środkiem, celem zaś — wyniesienie do szczytu państwowej potęgi Prus. Mniej był nacjonalistą niż etatystycznie zmodernizowanym feodałem. Stąd ustrój, który Bismarck wskrzeszonemu cesarstwu nadał, nosi na sobie tyleż piętna jego indywidualności, ile śladów dróg na których go Bismarck osiągnał, oraz układu sił społecznych, z którego go wyprowadzał. Był to ustrój wysoce swoisty, kojarzący nowoczesne elementy demokratyczne wolności, równości i praworządności z pierwiastkiem związkowo-stanowo-autorytatywnym, wywodzącym się ze średniowiecza.

Tak zarysowuje się oblicze Bismarcka i jego dzieła na podstawie książki Ludwiga.

Autor zapowiada w przedmowie portret artystyczny w stylu Rembrandta, jednak artyzmu w książce jest mniej niż by po tej zapowiedzi oczekiwać można. Imponuje ta praca głównie erudycją, a zajmuje tematem, pomimo stylu dość ciężkiego, którego okrasę stanowią wypowiedzi samego Bismarcka, znacznie pod względem literackim przewyższające tekst autora. Komentarze i analizy psychologiczne przeważnie dość prymitywne. Przekład naogół poprawny, choć niezupełnie bez zarzutu.

ST. SZCZ.

PRZEGLĄD PRASY

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI

Należę do gorliwych czytelników (ale nie prenumeratorów) „dziesięciodniowca poświęconego sprawom społecznym, naukowym i literackim", a noszącego dumną nazwę *Wolnomyśliciela Polski.*

Oddawna wprawdzie stwierdziłam, że „sprawy naukowe i literackie" służą jedynie do watowania boków wspomnianego podtytułu, aby przedstawiał się okazalej i nowocześniej, i że „społeczność" należy pojmować w znaczeniu dość specjalnym, ale to wszystko nie stanowiło dla mnie niespodzianki. Tak postępuje niejedno czasopismo, dodając sobie w swych oczach ważności — i każdy wie, co o tym myśleć.

Co do mnie, inną część tytułu usiłowałam odnajdywać w tekście wymienionego dziesięciodniowca — mianowicie wolnomyślicielstwo. Od czego mianowicie wolna jest myśl ludzi redagujących i piszących w tym piśmie, jakie posiada horyzonty i głębie, jaka jest jej siła tworząca? Fragmenty odpowiedzi na te pytania przychodziły z każdym kolejnym numerem czasopisma i doprowadziły mnie do wniosków, tak znamiennych dla układu stosunków w Polsce współczesnej, że zasługujących na publiczne rozpatrzenie.

SPOJRZENIA W RZECZYWISTOŚĆ

Szwecja, z którą łączą nas coraz bardziej serdeczne stosunki, z którą sąsiedztwo przez Bałtyk, w miarę rozwoju naszej polityki morskiej, z roku na rok jest bliższe, wystąpiła z zapowiedzią inicjatywy utworzenia porozumienia państw mniejszych celem wspólnego ubezpieczenia pewności jutra. Szwecja czeka na odgłosy. Urzędowego wypowiedzenia się po stronie polskiej jeszcze nie ma. Ale wezwanie to znalazło serdeczny oddźwięk w nastrojach polskich — znalazło odgłos w spuściźnie wieków nam przekazanej. To jakoby świt ery demokracji narodów.

Skąd inąd padają projekty zwołania narady państw uprzywilejowanych, ludniejszych, mocniejszych. Mają w niej udział wziąść oprócz „czterech", którzy Europę pomiędzy siebie dzielili dotąd (Anglia, Italia, Francja, Niemcy), nowi potentaci, czy półpotentaci: Polska, Rosja, może Mała Ententa. Nie ciągnie nas tam. Staliśmy zawsze na straży obrad jawnych na posiedzeniach i zgromadzeniach Ligi. I chyba tą drogą pójdziemy. Nie chcemy przywilejów względem słabszych — ale nie uznajemy obcych przywilejów wobec nas. Więc kiedy wypada wybierać pomiędzy uczciwym wezwaniem Szwecji a zaproszeniem do targów — wybieramy braterstwo ze Skandynawią. To spółdziałanie prowadzi do stworzenia prawdziwej siły stającej na straży prawa i czystości w polityce międzynarodowej.

O tę czystość zresztą toczy się obecnie spór i na gruncie innym. Nasza uwaga o starciach społecznych, na jakie naraża się Polska Akademia Umiejętności, prowadząc bezpośrednio przedsiębiorstwa, zostały ujęte na innych szpaltach w kształt ostrych zarzutów. Wyzysk! Poniewierka ludzka! Traktowanie robotnika gorsze niż gdzie indziej. Więc Akademia odpowiada — zaprzecza: Nie gorzej niż gdzie indziej. Przyjmujemy na wiarę, że tak jest. Ale wiemy, że gospodarzyć można utrzymując przeciętne warunki płacy i pracy. I cóż stąd, jeżeli owe przeciętne warunki już stanowią jaskrawy wyzysk? A jeżeli do tego i zysk na cele publiczne pozostaje pod znakiem zapytania — to wypada ponowić pytanie, czy wogóle wolno instytucji tego rodzaju prowadzić gospodarkę? Czy nie należy znaleźć innego sposobu spożytkowania fundacyj? I zaprowadzi to nas do szeregu innych pytań, powtarzanych już niejednokrotnie wobec stałego zjawiska upadania zapisów ofiarnych ludzi, marnowania dóbr, kapitałów, przeznaczonych przez testatorów na wzniosłe cele, a stających się tylko kością niezgody i tematem stałych zarzutów. Co zostało z fundacji Kórnickiej? Co zostanie z fundacji Potockiego? Inaczej trzeba podchodzić do zagadnienia. Z jednej strony nie wolno ich zbywać — z drugiej trzeba administrować sprężyście, z trzeciej należy położyć tamę wyzyskowi.

A wyjście jest. Trzeba zastosować zasadę spółdzielczego przedsiębiorstwa mieszanego, którego część niech zostanie w rękach pracy, opłacającej również i kontrolę — część zaś w rękach fundacji przez tę pracę utrzymywanej. Zapisy w tych warunkach były by pod strażą pewną i uczciwą. Cele ich stawały by się celami zastępów pracowniczych; własnością nie administratorów jedynie, ale setek i tysięcy nieraz rodzin... Gra warta świec. Warunki życia się zmieniają. Jeżeli nasze instytucje nie znajdą innej drogi gospodarzenia i będą nadal zajmowały stanowisko właścicieli obszarów dworskich — to nie obroni ich nic przed milionem zarzutów — słusznych i niesłusznych, a jutro, kto wie, czy nie dostaną obligacyj z tytułu wykonania reformy rolnej.

Sprawy tej nie należy zasypywać w popiele. Winna ona być rozważona bardzo poważnie i bardzo gruntownie.

Bo kwestje społeczne nabierają coraz większej ostrości. Fala strajków idzie — a jest tym groźniejsza, że związki zawodowe nie panują nad nimi. Przykład kopalni „Krystyna", gdzie trzykrotnie dochodziło do ugody i trzykroć ta ugoda została zerwana. A dalej — strajk 3.500 robotników na robotach publicznych w Łodzi, żądających wybitnej podwyżki, a przede wszystkim całotygodniowej roboty (dziś na robotach publicznych pracuje się 4 — 5 dni, co pozwala jednostce nawet przy 4 — 5 zł. dziennie zarobić 50 — 70 zł. miesięcznie) i t. d. Strajk wywołany został poza związkami, zdającymi sobie sprawę z niemożliwości zwycięstwa. Mamy tu do czynienia z ruchem żywiołowym. Szereg publicystów stawia pytanie co to jest? Kiedy zaczyna się poprawa, to wtedy najwięcej niezadowolenia?

Stara historia. Jeszcze Spencer dowodził, że każde ustępstwo zaostrza apetyty. Odpowiedział mu na to Potocki: Tak jest! Bo człowiek na dnie leżący nie zdaje sobie sprawy z tego, że może być lepiej. Aby walczyć, trzeba mieć jakąś nadzieję zwycięstwa. Ale Bismarck nie zadowolnił się spostrzeżeniem i dał wskazówkę praktyczną: trzeba dać, nie czekając aż ludzie sami brać zaczną — bo wtedy biorą o wiele więcej. Dać. Dać coś wystarczającego. Jeżeli roboty publiczne dają 50 — 60 zł. miesięcznie — pozostaje to o wiele poniżej minimum koniecznego. I wtedy powstaje pytanie: czy lepiej dać pełne zatrudnienie mniejszej ilości ludzi i stworzyć z nich konsumentów kupujących, dających komuś coś zarobić i różniczkujących spożycie, czy też lepiej gromadzić tłumy liczniejsze tych, których w najmniejszym stopniu zadowolić nie można? To ostatnie rozwiązanie, przyjęte obecnie — powiedzmy sobie wyraźnie — jest wadliwe.

Trzeba na tym polu zmian i naprawy. Naprawy wymagają zresztą i inne dziedziny naszego życia. Takim jaskrawym przykładem może być Radom. Pod presją jednego z rządów przedmajowych zaciągnęło miasto pożyczkę zagraniczną, z której dostało na rękę ok. 16 milionów złotych. Warunki były niedorzeczne. Dotrzymać ich miasto nie mogło i nie dotrzymało. Wtedy przyszedł z „pomocą" Bank Gospodarstwa Krajowego i tak wszystko zostało wykalkulowane, że dziś Radom jest winien Bankowi około 40 milionów!

Raty dłużne wynosić mają 3 miliony rocznie, a cały dochód miasta sięga 1,8 miliona. Upewniamy, że nie jest to bajka — tylko rzeczywistość — ale nie rzeczywista. Więc miasto nie płaci a Bank Gospodarstwa Krajowego, nie wiadomo po co, dopisuje odsetki do kapitałów, liczy nieprawdopodobne procenty za zwłokę, prowadzi jednym słowem rachunkowość własnych aktywów, chyba tylko po to, by w chwili opamiętania więcej mieć do skreślenia.

I warto wmyśleć się w całość tej sprawy — bo jest w niej coś niesamowitego zupełnie. Że pożyczkę zaciągnięto na warunkach niewłaściwych — mogło być błędem, nawet karygodnym błędem ,ale... liczono, że miasto zinwestowane będzie miało duże dochody. Lecz oto w pewnej chwili widać, że rachunki zawiodły. I co wtedy? Zamiast oceny istoty rzeczy i określenia, co i jak może być zapłacone — została stworzona fikcja, obciążająca pracą naszą centralną instytucję finansowo-gospodarczą, fikcja, krępująca ręce samorządowi, fikcja bez jakiegokolwiek uzasadnienia logicznego. I dla obalenia tej fikcji odbywają się zebrania, przyjeżdżają delegaci miasta do Warszawy, tracą czas na narady, targi — o co? Jak księgować nieistniejące sumy!!

Nie, panowie — to jest jakaś zabawka nie na miejscu. Za tę zabawkę, za jej uprawianie przecie wypłaca się diety i pensje...

Nie, my tego naszym zwykłym rozumem zrozumieć nie możemy — to wszystko dla obywatela wygląda na figle w rodzaju postępowania egzekucyjnego z powodu niedopłacenia 2 gr. lub umarzania 1-groszowej należności aktem, którego napisanie samo kilkanaście razy drożej kosztuje.

— Ależ to nie grosze — tylko miliony! — słyszymy zgorszone wołania.

Tak. Św. Biurokracy nigdy nie zrozumie, że ten rzeczywisty grosz, którym obecnie już na szczęście zakazano się zajmować, jest w każdym razie czymś bardziej realnym niż fikcyjny milion, albo i milionów ilość większa.

I dlatego te zagadnienia domagają się uregulowania.

ADUZ

Cóż więc jest magnesem przyciągającym największą uwagę autorów, których drukuje *Wolnomyśliciel?* Już pobieżne przepatrzenie łamów pisma przekonywa, że przeważająca ilość artykułów, uwag, wzmianek i notatek jest wycelowana w stronę kleru i kościoła katolickiego. W tym kierunku idzie nieustający atak *Wolnomyśliciela*, który nie przepuszcza najmniejszej nawet okazji, aby dokuczyć, ośmieszyć lub potępić znienawidzonego przeciwnika. Ta zaciekłość przybiera często formy śmieszne i prostackie. Oto np. okradziono jakiś kościół. *Wolnomyśliciel* podaje to do wiadomości publicznej wraz z uwagą, wyrażającą zdziwienie, że figury czy obrazy świętych nie zapobiegły swą protekcją kradzieży, że zatem lepiej opłacać policję pilnującą porządku i bezpieczeństwa, niż łożyć na kościół. Kiedyindziej znowu z racji przeczuć, jakie zdarzają się niektórym ludziom w stosunku do terminu śmierci — *Wolnomyśliciel* poważnie zapewnia, że takie przeczucia zdarzają się bez udziału sił pozaświatowych, że zatem to zjawisko daje się „naukowo" wytłumaczyć. W innym znowu miejscu pismo oburza się na liczenie ery „od rzekomej daty urodzin legendarnego Chrystusa" i w myśl pewnych projektów proponuje zamiast niej uznać datę najdawniejszego zaćmienia słońca. To byłby dopiero postęp w pojęciu wolnymyślicielskim.

Rzecz znamienna — *Wolnomyśliciel*, ogłaszający przeważnie swą solidarność ze zwalczającymi „przesądy religijne i nacjonalistyczne" prądami radykalno-międzynarodowymi, potrafi w pewnym wypadku odczuwać patriotyczne obawy o niezależność i interes Polski — wtedy, mianowicie, gdy znowu chodzi o kościół katolicki. Pisze się wtedy: „Obce potencje, których polityka w przeszłości była zgubną dla państwa polskiego, które wyrządziły Polsce wiele krzywd i szkód, mają możność wtrącania się do spraw państwowych polskich w bardzo szerokim zakresie". Oczywiście z radością cytuje się okrzyk Słowackiego (*Beniowski*): Polsko — twa zguba w Rzymie.

Do tej pory wydaje się, że sytuacja jest zupełnie jasna: mamy do czynienia z zapamiętałym wrogiem „zabobonu religijnego", wrogiem, który zgodnie z tezą: religia to opium dla ludu, stara się wypierać „przesądy" religijne z mas, ośmieszając kulty i ich przedstawicieli we wszelki dostępny sobie sposób. Ale to wniosek za pośpieszny. Nie może bowiem nie zadziwić czytelnika fakt, potwierdzany każdym prawie numerem *Wolnomyśliciela:* niezliczone napaści i drwiny dotyczą dziwnym trafem jednego tylko wyznania: katolickiego, „demaskowanie" chciwych władzy i pieniędzy, obłudnych duchownych — tylko księży katolickich; zato minimalne zainteresowanie okazuje *Wolnomyśliciel* dla spraw innych wyznań — przede wszystkim zaś dla religii mającej w Polsce trzy i pół miliona wyznawców, — dla religii żydowskiej.

Czuły na „postęp", hygienę, humanitaryzm i t. d. *Wolnomyśliciel* dziwnie mało okazuje się wrażliwy na makabryczne stosunki, panujące w tych dziedzinach w społeczeństwie żydowskim, w związku z obyczajami kultowymi. Nie uderza on na alarm z powodu szkół religijnych żydowskich, gdzie w smrodliwych, niedogrzanych izbach przez wiele godzin dnia dokonywa się ogłupianie tysięcy małych chłopców żydowskich scholastycznymi subtelnościami talmudu. Nie obrusza się na rolę rabinów a zwłaszcza cudotwórców-cadyków, którzy otaczani są wśród swoich kultem bałwochwalczym, będącym nie do pomyślenia wśród katolików. Nie troszczy się o dolę tysięcy kobiet żydowskich, rzucanych skutkiem potwornego prawa małżeńskiego na pastwę nędzy i poniewierki przez pięcio- i sześciokrotnie żeniących się mężczyzn. Nie walczy uparcie, do ostatniego tchu z przymusem okaleczania męskich noworodków i to w sposób, urągający prymitywnym pojęciom o hygienie. Dziś, kiedy rewelacyjna dla wielu ludzi ze społeczeństwa polskiego, a oparta na sumiennej, bezstronnej autopsji książka Wandy Melcer *Czarny ląd* odsłoniła niezmiennie istniejący obyczaj religijny trzy i półmilionowej masy ludzi, żyjących obok społeczeństwa polskiego, ukazała koszmar ich narodzin, życia i śmierci — wprost niepodobna zrozumieć, czemu *Wolnomyśliciel* nie wypowiedział walki bezwzględnej tym plagom egipskim, dręczącym tym razem naród wybrany przez Jehowę.

Tak czujny na „przesądy" katolickie, takim oburzeniem płonący na widok „wyzysku" ludności dokonywanego przez kler katolicki — wobec sprawy żydowskiej ogłuchł, oślepł i oniemiał. Ani sam nie podjął tematów, które pani Melcer usiłowała oświetlić, ani nie skorzystał z okazji, jaką nastręczyła jej książka, aby podeprzeć jej akcję całymi wolnomyślicielskimi siłami.

Owa obojętność na sprawę żydowską jest tym dziwniejsza, że redakcji dziesięciodniowca, poświęconego sprawom społecznym, naukowym i literackim musi być obyczaj religijny żydowski o wiele lepiej znany niż katolicki. Któż lepiej niż panowie Litauer, Landau, Jabłoński, Wroński, może być lepiej wtajemniczony we wszystkie bolączki, wszelkie średniowieczyzny społeczeństwa żydowskiego?

Czy nie jest więc dziwnym zjawisko, że panowie ci całą siłę swego temperamentu, cały bojowy *furor judaicus* obracają na zwalczanie spraw i ludzi ze środowiska dalszego dla nich — i mniej znanego i mniej dostępnego niż to, z którym ich łączą więzy krwi i wychowania?

Dla ludzi niewtajemniczonych wydawałoby się naturalniejszym układem stosunków, gdyby każdy Samson gromił swoich Filistynów, nie wyręczając innego. Byłoby niezmiernie ciekawe, gdyby resort spraw katolickich objęli w *Wolnomyślicielu* autentyczni znawcy tych spraw, wyszli ze środowiska polskiego (o ile takowi w związku Myśli Wolnej wogóle egzystują), panowie zaś Litauer, Landau etc. odkomenderowani zostali na ten odcinek frontu, gdzie są niezastąpieni. Na razie panowie ci zabierają czasami głos w sprawie żydowskiej, ale dzieje się to albo w związku z potępianiem antysemityzmu, albo z własnymi projektami wprowadzenia przymusu europeizacji stroju chasydzkiego przez rząd lub umożliwienia swobodnej zupełnie zmiany imion i nazwisk żydowskich na polskie. Trzeba przyznać, że te kwestje nie są równoległe do występów wolnomyślicielskich w sprawach katolicyzmu.

Zdarzają się zato *Wolnomyślicielowi* posunięcia dziwnie nielicujące z ogólnym charakterem napaści na chrześcijaństwo. Oto np. znajdujemy na łamach pisma ciekawy cytat z Maksyma Gorkiego: „Żydzi dali światu chrześcijaństwo, które stłumiło w człowieku zwierzę, a rozbudziło sumienie, miłość ku ludziom i potrzebę myślenia o szczęściu wszystkich ludzi... panom świata udało się przy pomocy kleru zrobić z chrześcijaństwa religię niewolników". Przecieramy oczy: więc jednak chrześcijaństwo nie było od podstaw złe i godne pogardy, rozbudziło altruizm i sumienie — było bowiem darem żydowskim.

Stopniowo oblicze *Wolnomyśliciela* nabiera w naszych oczach innego niż na początku charakteru. Zaczynamy coraz staranniej wczytywać się w słowa artykułów, poruszających kwestie żydowskie. Zauważamy, że gdy już koniecznie wypada zająć stanowisko wobec jakiejś sprawy żydowskiej, owi wolnomyśliciele szczególnego autoramentu czują się dziwnie nieswojo i niepewnie i niema dla nich dość grubych rękawiczek, przez które chcieliby dotknąć przykrego miejsca. Tak było z kampanią o ubój rytualny, kiedy pan Litauer ostrożnie zestawiał cytaty z innych dzienników — z *Robotnika*, *Naszego Przeglądu*, z artykułu dr. Knappe Maszewskiej i t. d., a już gorliwie podkreślał, że „wrzawa dookoła uboju jest imprezą reakcyjną" (?), że jest rozgrywką antysemicko-żydowską. Nie piorunował bynajmniej na rabinów, utrzymujących lud w ciemnocie i barbarzyństwie, a już ani słówkiem nie podkreślił skandalicznego posmaku finansowego całej sprawy. Przeciwnie, podtrzymywał stanowisko czystego humanitaryzmu, przyczem pośpiesznie rozciągał swoje stanowisko negatywne na... ubój zwierząt przez polowanie: „wolnomyśliciele żądają zakazu polowania dla rozrywki" — i zakonkludował: „Zostawmy to Goeringowi i jego towarzyszom". Okazało się, że polowania rasistów sprawiają specjalną przykrość panu Litauerowi. Zakończenie tej sprawy było kapitalne i niepozostawiające żadnych wątpliwości co do właściwego oblicza tego pisma i piszących w nim autorów. W kłopotliwej sprawie uboju rytualnego musiał ktoś obszerniej i wyraźniej zabrać głos. I tak się stało: pojawił się w *Wolnomyślicielu* obszerny artykuł, przekonywający Żydów, że nie powinni bronić sprawy uboju, a ukazał się... niepodpisany, opatrzony tylko pseudonimem. Ton owego artykułu jest niesłychany, jest to „odezwa do światłej, szlachetnej, wolnomyślicielskiej inteligencji żydowskiej" (takich epitetów inteligencja polska nigdy nie była widocznie godna), aby zechciała odpowiedzieć, dlaczego nie odezwała się w sprawie szachity. Autor pyta w ten sposób: „Ośmielamy się zadać sumieniom waszym i żołądkom, nie rozróżniającym trefu i koszeru, pytanie, co kazało wam milczeć, gdy rabini i będąca na ich usługach — tak wzorowo postępowa, gdy chodzi o sprawy obce, tak uparcie konserwatywna w obronie wstecznictwa własnego narodu — prasa żydowska wrzeszczała na rogach ulic... że prawodawcy polscy zamierzają zagłodzić trzy i pół miliona Żydów..." Poczem długo i cierpliwie tłumaczy im niesłuszność powyższego zarzutu i pośpiesznie dodaje: „Wiemy dobrze, że ten punkt widzenia jeszcze nie trafia wam do przekonania. Ale wina nie na nas leży. Tkwi ona w waszej niewiedzy, którą mamy nadzieję rozproszyć przy odrobinie dobrej woli i uwagi z waszej strony... raczcie nie podejmować z nami sporu na temat humanitarności przepisów talmudycznych o uboju rytualnym... oceńcie nasz umiar i wyrozumiałość naszą... zwracamy się do was przecie w imię honoru mozaizmu, w imię możności rozwinięcia idealistycznych pierwiastków religii monoteistycznej, podobnie jak potrafimy skądinąd ocenić bezstronnie i rzeczowo walory ideału Chrystusowego, zawarte w ewangeliach, wykwitających ze wspaniałych natchnień proroków Izraela".

Czyż potrzebny jest do tego jakikolwiek komentarz? Czy raczej każdemu bezstronnemu czytelnikowi nie rzuca się sama w oczy ta różnica tonu w stosunku do żydowstwa i do katolicyzmu. Pisze się z pokorą: raczcie, oceńcie, przemawia się w imię honoru mozaizmu, który nie jest widocznie przesądem, ogłupiającym swych wyznawców. (Nie wiadomo, co tu jest lepsze: czy przyznanie się do... obrony honoru tego „przesądu", czy pokorne stwierdzanie, że ewangelie chrześcijańskie wykwitają ze wspaniałych natchnień proroków Izraela). Zdumiewa i budzi obrzydzenie to łaszące się nadskakiwanie, to korne skomlenie o uwagę dla swych słów, ta głupota, naiwność lub nędzna tchórzliwość pisarza, który, walcząc o słuszną sprawę, drży ze strachu, że narazi sobie kogokolwiek i, choć ukryty za przyłbicą anonimu, skamle zgóry o względność. Nie mamy żadnej wątpliwości, że tym razem wolnomyśliciel wypchnął na plac jakiegoś zniedołężniałego wolnomyśliciela-exkatolika, aby zachować werwę panów Litauera, Landau etc. na katolickie okazje.

Czy to ma być insynuacja? Nie, to jasne i wyraźne stwierdzenie faktu, przemawiającego z każdej stronicy *Wolnomyśliciela:* rzekomy wolnomyśliciel polski jest poprostu człowiekiem innej nacji. Wzorowo postępowym, jeżeli chodzi o sprawy obce, przeraźliwie konserwatywnym w obronie własnego wstecznictwa, a ponadto obłudnym i tchórzliwym ponad wszelkie wyobrażenie przeciętnego uczciwego człowieka. Obyczaje panujące na terenie *Wolnomyśliciela* to pierwszorzędny temat dla zawodowych „odkłamywaczy" współczesnych stosunków polskich. Czemuż się nim nie zajmują?

ZOFJA MIANOWSKA

*

AGITACJA HITLEROWSKA W POLSKICH SZKOŁACH DLA NIEMIECKIEJ MNIEJSZOŚCI. Interesujące informacje o akcji irredentystycznej młodzieży niemieckiej w Polsce podaje *Kurjer Poznański* w nr. 283. Przytacza on zapiski w notesie uczennicy niemieckiego gimnazjum prywatnego w Grudziądzu. Z zapisków wiadomo, że uczennica należy do 5 zastępu dziewczęcego. Charakter działalności tych zastępów wynika jasno z zanotowanych wierszy. Brzmią one w dosłownym tłumaczeniu następująco: „Niemiecka ojczyzno! Kiedyż uwolnisz nas? Niemiecka ojczyzno, mimo losowi, który nas spotkał? My wytrwamy, mieszkańcy brzegów Wisły, Wytrwamy na wydmach nadmorskich. Raz przecież zabłyśnie nam ognistym światłem zorza. W ciemnościach nocy, nędzy, niedoli. Niemiecka ojczyzno, do ciebie należy nasza krew, Niemiecka ojczyzno. Hartuj naszą wolę. Składamy przysięgę przed światem i Bogiem. Przysięgę, z której naigrawa się nieprzyjaciel. Raz musi hardy opór naszego oręża Wykrzesać nam honor i zwrócić nam prawo" i t. d. Drugi wiersz brzmi: „Bojownicy, bojownicy, to jesteśmy my. Brunatne koszule, z swastyki ozdobą. Cześć Tobie, wodzu, Adolfie Hitlerze. Bojownicy trzeciej Rzeszy, to jesteśmy my. Zerwiemy łańcuchy i będziemy wolni, Nie boimy się diabła i piekielnych mocy, Burzy, huraganu, jasnych piorunów. Łańcuchy zerwiemy i będziemy wolni" i t. d. Ludzie, nie pochodzący z dawnych dzielnic niemieckich, a tych jest większość w Polsce, są skłonni do lekceważenia agitacji hitlerowskiej. Tymczasem wobec niemieckiego zmysłu organizacji, wyolbrzymionego poczucia łączności narodowej i pomocy finansowej Rzeszy zjawisko to zasługuje na jak najbaczniejszą uwagę i przeciwdziałanie. Tym więcej, że działalność ta jest lepiej zakonspirowana, o wiele lepiej niż działalność innych mniejszości. Tolerancja tych zapędów agitacyjnych świadczyłaby o niedopuszczalnym lekceważeniu istotnych interesów narodowych i państwowych dla dorywczych, krótkotrwałych korzyści politycznych. Mamy obowiązek równie surowo traktować wszelkie tendencje irredentystyczne. Pobłażliwość w stosunku do Niemców jest nielogiczna i historycznie wysoce szkodliwa, tem więcej, że złudzeniem oczywistym jest sąd, przypuszczający, że taka pobłażliwość przekona Niemców.

W. BĄK

Książki nadesłane do Redakcji

HISTORIA

Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących. Opracował ADAM BAR przy współudziale Wł. Tad. Wisłockiego i Tad. Godłowskiego. Tom I. Pseudonimy i kryptonimy od A — K. Kraków. 1936. (Prace Biblioteczne Krakowskiego Koła Związku Bibliotekarzy Polskich, VII.)

ALEKSY RŻEWSKI. *Szlakami walki i buntu.* Wspomnienia z walk rewolucyjnych z trójzaborcami. Łódź 1936. Nakł. księg. S. Seipelt.

HELENA ORSZA-RADLIŃSKA. *Książki, które szły szlakiem Legjonów 1914—1916.* Kraków 1936.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI. *Źródło rozbioru Polski.* Studja i szkice z ery Sasów i Stanisławów. Poznań 1935, Księg. Św. Wojciecha

FILOZOFIA

J. DE LA VAITTIÈRE, T. J. *Teorja psychoanalityczna Freuda.* Studjum z psychologji pozytywnej. Przekład M. i Z. Ziembińskich. Księgarnia Św. Wojciecha. Poznań 1936.

DANIEL ROPS. *Świat bez duszy.* Tłum. Michał Małek. Księgarnia Św. Wojciecha. Poznań 1936.

F. ENGELS. *Anty-Dühring. Przewrót w nauce dokonany przez pana Eugenjusza Dühringa.* Zesz. I. Przełożyli: Ign. Cukerman, J. Kociełł i M. Kierczyńska. Warszawa 1936. Wyd. „Tom".

Studia Philosophica. Commentarii Societatis Philosophicae Polonorum. Curantibus K. Ajdukiewicz, R. Ingarden, K. Twardowski. Volumen I. Leopoli 1935. Prostat Leopoli in libraria „Książka" (A. Mazzucato).

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., ½-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: LEON PIWIŃSKI

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.